

TYGODNIK ILLUSTROWANY



SEN

ARTUR CROFT MITCHELL

Z wystawy związku
artystów w Londynie

NOWY SALON SZTUKI W LONDYNIE.

Świeży akt protestu przeciw systemowi kotery i protekcji, panującemu w salonach oficjalnych: nowy salon sztuki młodego towarzystwa kooperacyjnego pod nazwą *Allied Artists' Association* (A. A. A.) bez „jury“ i bez nagród. Powstanie tej instytucji, jak innych podobnych, jest wynikiem rozgoryczenia i niezadowolenia pewnej sfery malarzy i rzeźbiarzy, którzy nie chcą lub nie mogą pomieścić się w ramach ciasnego ustroju wielkich i uświęconych tradycją i autorytetami salonów, a szukają zarazem nowego rynku zbytu

i walczą o materialne korzyści, klientelę i handel. Finansowo potężne wystawy roczne w „*Royal Academy*“, „*Royal Scottish Academy*“, „*British Society of Fine Arts*“, „*International Society of Painters Sculptors and Gravers*“ i wiele pomniejszych trzęsą opinią publiczną i narzucają rodakom i poczęści także Ameryce swe *respectable* malowidła, poza kilkoma dziełami wielkiego talentu, rzeczy słabe, o charakterze mdłym i sentymentalnym.

Zrzeszenie malkontentów, wśród których nie braknie naturalnie płytkich karyerowiczów,

jest jednak wielką zasługą, przede wszystkim dlatego, że pozwala otworzyć drzwi do świata paru setkom rzeczywiście utalentowanych artystów. Cel niezawodnie jasny i szlachetny, który w połączeniu z pewną przedsiębiorczością był wystarczającą przyczyną do stworzenia towarzystwa, gdy rodak nasz, mieszkający stale w Londynie, malarz *Jan Holewiński*, zebrawszy grupkę tamtejszych artystów, nadał wyłaniającym się dążeniom artystycznym formę konkretną. Niestrudzony pracownik, przytem wykwinny znawca rzeczy i lu-

dzi, potrafił na gruncie obcym, przy pomocy kilku chętnych jednostek (tu należy wymienić znakomitego krytyka artystycznego, p. Franka Ruttera), stworzyć dzieło, którego powodzenie finansowe i artystyczne na szereg lat jest już zapewnione. Niespodziewanie wysoka liczba członków Towarzystwa, obfity plon wystawy, urządzanej w miesiącach letnich, z przeszło 4,000 dzieł, i uznanie publiczności i prasy świadczą już obecnie chlubnie o trafności pomysłu i szczęśliwie zaznaczonym kierunku nowej instytucji.

Nie po raz pierwszy posiada Londyn wystawę sztuki, opartą na zasadach demokratycznych i bez „jury“. Pierwszą próbą wystawy „wolnej“ była „Free Exhibition“, istniejąca przez lat kilka (do r. 1855), gdzie Rossetti (Dante Gabriel) w latach 1848 i 1849 wystawiał swoje dzieła. Drugą podobną próbę podjęto w roku 1889, lecz miała ona charakter odrębny od obecnej: była bowiem jednorazową, a zarazem była wystawą dzieł, odrzuconych z „Royal Academy“. Wystawa ta nie powiodła się ani artystycznie, ani finansowo, dlatego też, gdy wieść o nowym projekcie dostała się do ogółu, prasa angielska na mocy wspomnień zachowała się dosyć sceptycznie, a uległa dopiero wobec samego faktu.

Na ogół wystawa, urządzona z ogromnym nakładem trudu i pomysłowości w Royal Albert Hall, wyglądała imponująco. Gmach olbrzymi, pozornie sam przez się mało odpowiedni na ten cel, po wprowadzeniu zmian dał bardzo dobre rezultaty, mianowicie dobre światło i podzielną przestrzeń na ścianach i ekranach.

Powodzenie najlepiej malują cyfry, a zwłaszcza porównanie z Akademią pod względem ilości zwiedzających, które wypada na korzyść nowego salonu. Gdy Akademia, pominąwszy zakupy doroczne z zapisu Chantrey, sprzedawała obrazów za 100 f. szt. (rub. 1000), artyści członkowie A. A. A. osiągnęli ze sprzedaży dzieł 600 f. szt. (rub. 6,000), co nawet na stosunki londyńskie jest sumą bardzo poważną.

Niemniejszym powodzeniem cieszyła się strona artystyczna, a w prasie londyńskiej po przełamaniu pierwszych lodów przebijał ton bardzo pochlebny i zachęcający. Najpoważniejsze organy, jak *Fortnightly Review*, *Athenaeum*, *Burlington Magazine*, dały obszerne, poważne artykuły i przychylne oceny.

Rzeczowy dorobek był rzeczywiście bardzo wydatny. Wielu majstrów francuskich: Roll, prezydent „Société Nationale des Beaux Arts“, Raffaëlli, Carlos Schwab, ilustrator biblii Catulle Mendès'a, Abel Truchet, założyciel paryskiego Salonu jesiennego, Girardot, Joseph Gepine, znakomity rzeźbiarz Gardet; z Włochów Gennaro Favai, Ulisse Caputo, Zeccos, dyrektor wystawy międzynarodowej w Wenecji; z Hiszpanów znakomity pejzażysta José Salis, Lezcano; z Belgów: Meunier, Saëgher, Gilsoul; z Holendrów: Roelofs'owie ojciec i syn, Cossaar, Wagemans, Van der Waay; z Czechów: Zdenka Braunerowa, z Węgrów: znakomity Laszlo, że wymieniamy tylko bardziej znanych, oto nazwiska, stwierdzające, że wystawa była bez przechwałek międzynarodową.

Malarstwo polskie obejmuje tylko kilka nazwisk, gdyż nie starczyło poprostu czasu na choćby dorywcze zorganizowanie naszych artystów. Ci jednak z pomiędzy nich, którzy obeszali wystawę, dali kilka rzeczy doskonałych, siłą talentu bardzo korzystnie zaznaczających się wśród morza barwnych płócien. Konrad Krzyżanowski dał niezwykle silny w tonie portret hr. Krasińskiej, Berenta, dalej kapitalny pejzaż i siedm szkiców, przedziwnie skromnych, a zarazem wykwiłnych w kompozycji, charakterze i walorach, świadczących o nadzwyczajnej wrażliwości i zmy-



Carubina i jej duenna August Koopman (Ameryka)
Z wystawy związku artystów w Londynie.

śle artystycznym. Mocą tego daru artysta tak pięknie harmonizuje kolory i wprowadza w spokojny ton szkicu plamy barwne, którymi szkic żyje. Ignacy Pieńkowski nadesłał z Paryża doskonale malowane „Kwiaty“, głęboko pojęty i odczuty pejzaż; subtelnie stonowana „Etudef“ zwracała powszechną uwagę. Pilichowski wystawił bardzo interesujący motyw z „Boul' Mich“, gdzie pejzaż i efekty świetlne, malowane jakby dla siebie samych, nie biją jednak zbyt mocno z obrazu i nie odbierają siły głowie kobiecej, na pierwszym planie umieszczonej, głowie, która, poza znakomitą wartością ze stanowiska malarzkiego, daje nam literackie wrażenie Paryża. „Moment de Joie“ i „En Prière“, zwłaszcza zaś ostatni rysunek, nie giną bynajmniej obok bardzo dobrych rysunków uznanych majstrów zachodnich. Pani Lena Pilichowska nadesłała bardzo dobre prace, pani Stanisława Kartowska (Mrs. Robert Bevan), którą miło nam zaliczyć do polskich malarzy, jak również Louis de Brézé, Polak, wystawili płótna wielkiej wartości artystycznej. Zwłaszcza pejzaże pikardyjskie i sceny rybackie Brézé'go cieszą się ogromnym powodzeniem w Londynie. Między obrazami Leona Kaufmana bezsprzecznie najlepszą była świetna w koncepcji „Bajka“.

Z przyjemnością podkreślam fakt, że nasi malarze zwrócili na siebie powszechną uwagę, i niemal wszystkie pisma peryodyczne, a wszystkie najpoważniejsze, powtórzyły ich nazwiska i pochlebnie komentowały ich dzieła.

Z natury rzeczy najliczniej reprezentowana była sztuka angielska i amerykańska, tak licznie, że analiza krytyczna poszczególnych dzieł w ramach szczupłego sprawozdania byłaby niepodobniństwem. Pewna charakterystyka ogólna i garść nazwisk zaświadczy w każdym razie, że promowani przez opinię na majstrów malarze nie cofnęli się

przed udziałem w wystawie bez „jury“ i że poza tymi w najmłodszym pokoleniu artystycznym jest sporo ciekawych indywidualności.

Poza „firmami“, jak *Lavery*, *Brangwyn*, *Bohm*, *Pryde*, *Bunny*, *Peploe*, *Speed*, *Steer*, *Mancini*, *Moira*, *G. Kelly*, *Walter Crane*, *Stabler*, *Byam Shaw* i rzeźbiarz *Tweed*, należy wspomnieć o kilku oryginalniejszych, o pewnym polocie malarzach: *Frank Emanuel*, *H. F. W. Ganz*, *Mackenzie*, *A. Priest*, *Gore*, *de Groot*, *F. O. Thomason* (Amerykanka), *Lucien Pissarro*, *Miss Winifred Cooper*, której pejzaże litewskie zasługują szczególnie na szczerze pochwały. A dalej *Anna Airy*, *G. Russell*, *A. Jamieson*, *W. Bayes*, zawsze młody i wpływ na młode pokolenia mający *W. Sickert*, majstersko władający węglem *Paul Henry*, *Foottet*, *Morrice*, *Power*, *Robert Bevan*, *G. Chowne*.

Rzeźba angielska, jak zwykle, mało interesująca. Liczniejsi od zagranicznych rzeźbiarze angielscy z swymi ogromnymi generałami pieszo lub na monstualnych koniach, z ich *Jeanne d'Arc*, naśladowującą zawsze *Fremiet'owską*, zginęli wobec kilku arcydzieł takich, jak „Ślązaczka“ *N. Aronsohna* lub „Niedźwiedz“, niewielka rozmiarami rzeźba *G. Gardeta*.

Na szczególną wzmiankę zasługuje wystawa rosyjska, zorganizowana pod egidą A. A. A. przez księżnę M. Teniszew. Zawierała ona niezmiernie interesujące „objets decoratifs“ rzeźbione w drzewie i draperye, ręcznie tkane i haftowane przez wychowawców szkoły rosyjskiej narodowej sztuki stosowanej, założonej i prowadzonej przez księżnę Teniszew w Tataszkinie. Przepyszne emalie (*champleves*), wykonane z wielkim artyzmem przez samą inicjatorkę wystawy, stanowiły „clou“ tego działu. Oprócz niej wzięli w wystawie udział malarze, rzeźbiarze i architekci, hołdujący nowemu w Rosji prądowi rodzimej sztuki. *N. Roerich* wystąpił z całą seryą obrazów o treści historycznej, *Iwan Bilibin* z ilustracjami do bajek, wspaniale skomponowanymi i przy całym wschodnim bogactwie i wschodniej drobiazgowości ornamentacyjnej, przepysznie zharmonizowanymi w kolorze, *bar. Rausch von Traupenberg* wystawił kilka ciekawych rzeźb.

Podobnie oddzielną wystawę, dział sztuki polskiej, zamierza p. Holewiński, jako członek dyrekcyi Towarzystwa, urządzić na jednej z przyszłych dorocznych wystaw. Dążeniem jego będzie wejście w porozumienie z grupami naszych artystów, a zarazem zdobycie dla wystawy polskiej jak najdogodniejszych warunków.

Wskazane jest jednak, aby już dziś artyści nasi, korzystając z wyjątkowo szczęśliwej okoliczności, że posiadamy rodaka na tak wpływowym stanowisku, brali udział w międzynarodowych wystawach A. A. A., które stworzą z pewnością najbardziej interesujący salon Londynu *).

R. ORDYŃSKI.

*) P. Jan Holewiński, London W. C., 67, Chancery Lane, udzieli chętnie w każdym wypadku informacji i wyjaśnień.

XIV.

Prawie o ósmej wieczorem Świrski opuścił Leśniczówkę. Po nierównej drodze, wśród ciemności i chłodu, oddział Zajązkowskiego maszerował tak prędko, jakgdyby przewodniczył mu ktoś, doskonale znający okolicę. Kazimierz w pierwszej chwili nie widział nic, później niewyraźnie zaczął odróżniać piramidalne jodły, niby wieże kościelne, i poznał drogę, którą zazwyczaj chodzili z Jadwigą na spacer... Nagle uczuł, jakby mu serce ściśnięto obcęgami. Przywidziało mu się, że wchodzi do wpół oświetlonej kancelaryi Linowskiego, i spadł na niego tak straszny atak tęsknoty, nie wiadomo za kim, czy za czem, że, gdyby to potrwało dłużej, może pomyślałby o samobójstwie.

— Nie schodź tam na bok!... — odezwał się stłumiony głos na przedzie.

Teraz Kazimierz jasno przypomniał sobie i zrozumiał, że już nie jest na Leśniczówce, u ludzi, którzy go kochali i do których on sam się przywiązał, ale że maszeruje z oddziałem Zajązkowskiego, którego uważał za bandytę.

„Czy ja dobrze zrobiłem?... — pomyślał. — Naturalnie!... bo i cóż innego miałem do zrobienia?... Kozacy i strażnicy szukają mnie, mnie specjalnie!... Są już we wsi, a najpóźniej jutro będą w Leśniczówce, jeżeli nie dzisiaj, jeżeli nie zaraz... Poczciwa, kochana pani Linowska już nie zdążyłaby mnie przechować; a gdyby i przechowała, czy można być pewnym, że ktoś ze służby nie wygadałby się przed strażnikami? A w takim razie ja wypaliłbym sobie w łeb, a Linowska poszłaby do więzienia“...

„Prawda, że najzaciejsza kobieta chciała mnie wysłać do Grudy; ale czy miałbym prawo jechać w bezpieczne miejsce, gdy Lisowski i Chrzanowski są w oddziale, tułają się, niepewni dnia, ani godziny?“...

„Wreszcie, czy oddział Zająca jest słabszy od tego, jaki ja wyprowadziłem do Słomianek?... Czy ludzie, składający go, nie mają tych nadziei, jakie miałem ja sam, werbując ochotników dla siebie?... Dziś dowództwa nigdy nad nimi nie objąłbym; ale, będąc z nimi, mogę ich powściągnąć od bandytyzmu“.

W tej chwili uderzyła go gałąź świerku, zasypana śniegiem.

— Nie schodzić na bok!... — powtórzono znowu na froncie.

— Zła droga!... — mruknął ktoś.



PORTRET
Z wystawy związku artystów w Londynie

SIDNEY ADAMSON

— Dam ja ci, psia twoja mać, złą drogę!... — odparł głos zirytowany.

Świrski domyślił się, że oddziałowi szło nie tylko o prędką marsz, ale i o zatarcie śladów.

— Pan naczelnik ma swój oddział, czy będzie przewodzić naszemu?... — zapytał go śpiewnie człowiek, idący obok.

— Nie mam oddziału i nie będę nikim dowodził. Pan dawno tu jest?

— Może z tydzień — szeptał człowiek, odziany w burkę — ale zdaje mi się, że już z rok...

— Co pana tutaj przygnało aż z Litwy?...

— Pan poznał?... At, zwyczajnie drobiazg... Postawiliśmy przy miasteczku figurę, a strażnicy chcieli ją rozwalić. Przemówił mi się z jednym... On za szablę, ja za kłonicę... No i trzeba było uciekać z domu, bo teraz za opór strażnikom wieszają. A za przewracanie krzyżów świętych — pochwalają...

— Stój, równaj się! .. — zakomendero-

wano. Świrskiemu zdało się, że poznał zakatarzony głos Dziewiątki.

Oddział zatrzymał się na niezbyt szerokiej polance, na której stało kilkoro sań. Teraz odezwał się stłumiony bas Zajązkowskiego:

— Trzeba z piętnastu ochotnika...

Cała gromada ruszyła na przód.

— Za dużo!... — mówił półgłosem Zajązkowski. — To ty, Kubuś?... Toporek — dobrze... Mańkut — owszem... Aha... Gorczyca... Szczurek... ja wiedziałem, że pójdziecie!... Monopolka zostanie. A upij mi się, to ci zęby porachuję...

Świrski wahał się: czy ma zostać, czy pójść, jako ochotnik, na nieznaną wyprawę? Ale, zanim skończył namyślać się, sanki ruszyły i w jednej chwili utonęły w ciemnościach. Kazimierzowi było przykro, że nie tylko Zajązkowski nie zwrócił się do niego ze specjalnym zapytaniem, ale że nawet Chrzanowski i Lisowski nie pożegnali go, nie zamienili z nim ani wyrazu...

— Jeden za drugim... gęsiego... marsz!... — komenderował głos zakatarzony.

Po kilku minutach oddział zeszedł z polanki, potem z drogi, a wnet Świrski poznał, że idą wąską ścieżką, bardzo nierówną, wśród gęstych krzaków. Co chwilę poślizgiwał się, potykał o korzenie, albo zapadał w śnieg.

To znowu musiał zasłaniać twarz

rękoma, ażeby zabezpieczyć się od uderzeń gałęzmi, które odginali i poruszali idący przed nim. Czasem ktoś, mniej uważny czy zręczny, wywracał się z przekleństwem, co innych pobudzało do śmiechu; niekiedy, daleko na przodzie, mignął drobny blask, po którym Świrski poznał, że tam idzie ktoś z latarką. Czasami oddział zatrzymywał się, latarka już wyraźnie ukazywała się i znikła między drzewami, jakby szukając drogi. I znowu prędko marsz, szelest śniegu, chrzęst gałęzi, potyknięcia się, ciche przekleństwa i półśmiechy.

Ręce marzły, uszy paliły, nogi poślizgiwały się, ale Kazimierzowi zaczęła podobać się awanturnicza wyprawa. Przecie on o takich marzył i przez kilka lat razem z kolegami przygotowywał się do nich!...

Pochód stawał się trudniejszy, oddział bowiem znalazł się w okolicy falistej. Trzeba było wspinać się na wzgórza coraz wyższe, zsuwać się do wąwozów po ścianach coraz bardziej stromych, a wszystko między



LE BOULEVARD DES ITALIENS
Z wystawy związku artystów w Londynie

I. F. RAFFAELLI

gęstymi krzakami. Nogi coraz częściej trafiały na kamienie, z początku małe, potem większe...

— Dokąd idziemy?...—mimowoli zapytał Kazimierz człowieka w burce.

— Musi być do domu... na kolację...— odrzekł.

Świrski pomyślał, że Litwin żartuje z niego, więc już nie odzywał się. A tymczasem droga stawała się coraz cięższa i cięższa. Wzgórza były coraz więcej strome, nogi ślizgały się coraz gwałtowniej, a kolczaste krzaki chwytaly za odzież, za ręce, za głowę. Jeden z oddziału zwicznął sobie rękę i szedł, oparty na ramieniu kolegi, cicho jęcząc; drugi zgubił czapkę, którą odnaleziono dopiero przy pomocy latarki. Ludzie już nie uśmiechali się i nie szeptali; pomimo zimna ocierali pot, ciężko dysząc, a w miejscach równiejszych zatrzymywali się na kilkuminutowy odpoczynek.

Było już dobrze po dziesiątej w nocy, kiedy Świrski usłyszał okrzyk:

— Kto idzie?...

— Swoi!... swoi!...— odpowiedziano chórem.

— I kapitan jest?

— Pojechał do Józówki. Na co ci kapitana?...

Kazimierz nie dosłyszał odpowiedzi, natomiast zdało mu się, że zdaleka, między krzakami, widzi czerwony blask. Jednocześnie oddział zeszedł na małą równinę, ludzie ożywili się i zaczęli rozmawiać, a niebawem wszyscy stanęli przed ogromną ścianą wapienną, w której było kilka otworów. W jednym palił się spory ogień.

— Jeść!... Herbaty!... Wódki!... — wołano z różnych stron.

Do Kazimierza zbliżył się Starka w towarzystwie mężczyzny z bystremi oczyma.

— Mój kolega Świrski—rzekł Starka.— A to nasz... towarzysz, Dziewiątka... Prowadzi nas dzisiaj...

— Pan naczelnik ma co do rozkazaania?...— spytał Dziewiątka.

— Nie jestem naczelnikiem i nie rozkazuję... Mogę tylko prosić...— odpowiedział Świrski.

— Jeść!... wódki!...—wołali inni towarzysze.

— Może i pan zechce co zjeść albo napić się?...—pytał Dziewiątka.

— Jeżeli można, chciałbym się trochę położyć—rzekł Świrski.

Dziewiątka wziął za rękę Kazimierza i wprowadził go do jaskini, gdzie palił się ogień. Była to oddawna zarzucona kopalnia kamienia wapiennego, dosyć głęboka, posiadająca niejedno wejście.

Przy ognisku siedziało kilku ludzi w wyszarzanej odzieży. Jeden palił fajkę bardzo dobrego tytoniu, drugi na węglach ustawiał duży imbryk, trzeci—odgrzewał mięso, cuchnące dymem i łojem. Świrski pomyślał, że tego przysmaku nigdy nie wzięłby do ust...

Minąwszy ognisko, Dziewiątka zaprowadził Świrskiego w głąb jaskini, gdzie leżał stos gałązek świerkowych i jodłowych.

— O, tu może pan odpocząć... Dobranoc!...—rzekł Dziewiątka i szybko wrócił na polankę, do upominających się o jadło, herbatę i wódkę.

„Trzeba przyznać—myślał Świrski, kładąc się na gałązkach—że moi nowi koledzy wyglądają na prawdziwych zbójów!... To mnie tylko uspokaja, że za tydzień i ja będę do nich podobny“.

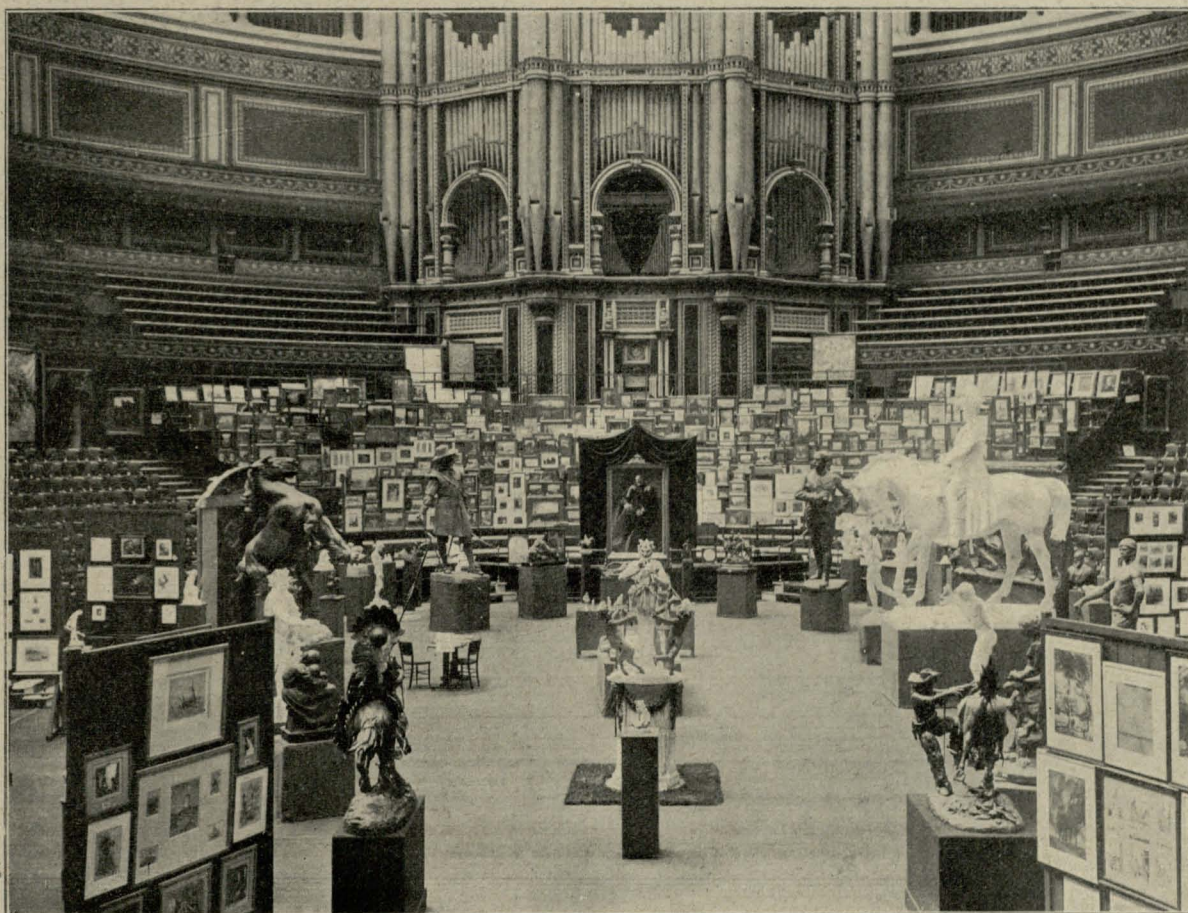
Wyciągnął się, nasunął baranią czapkę na głowę i począł marzyć. W tej chwili był prawie kontent, że opuścił Leśniczówkę, która jakby zepchnęła go z zamierzonej drogi i pozwoli odhartowywała. Na twarz wybiegły mu piekące rumieńce, gdy przypomniało mu się, że płakał wobec Linowskiej i gotów był porzucić swoje projekty dla Jadwigi!... (DCN)



PORTRET hr. KRASIŃSKIEJ
Z wystawy związku artystów w Londynie

KONRAD KRZYŻANOWSKI

FRAGMENT WYSTAWY
ZWIĄZKU ARTYSTÓW
W ALBERT HALL
W LONDYNIE



KORNEL MAKUSZYŃSKI: Z NOWEJ SERII POEZJI.

OFIARA.

Czemu jesteście wszyscy tacy niemi,
Jakbyście byli z pogrzebowej rzeszy?
Niech uraduje wszystkich radość ziemi,
I wszystkich miłość słońca niech ucieszy.

Jeśli wam mało bije krwi o skronie,
Niechże się jeden wśród nas znajdzie boży
I, pieśń śpiewając o swym własnym zgonie,
Niech ostrym nożem serce swe otworzy.

Niech jeden odda na urągowisko
Swoją smutek cenny i tęsknotę swoją,
Aby umarła, cierpiąc, bowiem blisko
Jest śmierć, a wyście z tych, co jej się boją.

Jakżeście marni w tej śmiertelnej szacie,
Z rozpaczą swoją zrosili i z swem łożem,
Wy, wrzody życia!—Słuchaj, smutny bracie:
Tu puka serce moje, pchnij w nie nożem!...

ŻEGLARZE ZBLĄKANI.

Skowyt trwogi do większych nas podżega trwóg,
Ryczy odmęt i biczem pian nas bije w twarze.
Płyniemy, jak na trumnie, bez celu i dróg.
Po co patrzeć? Niech zejda z wszystkich masztów
straże.

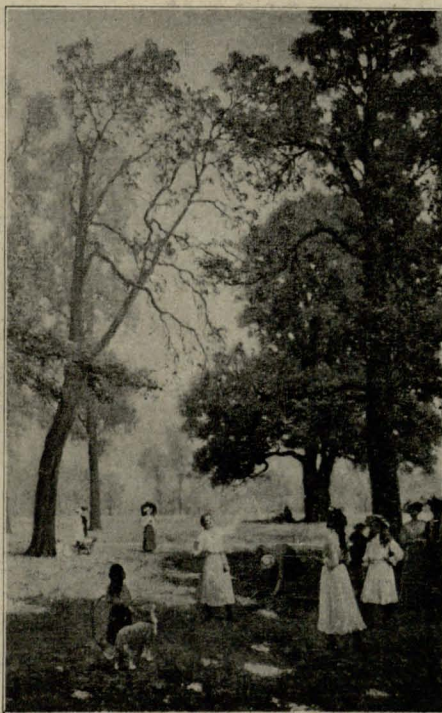
Masz siostry? Kłamiesz! Jesteś tu straszliwie sam,
Tak, że wicher złośliwym śmiechem bije w żagle.
Kochankę masz na lądzie? Ach, i ja ją mam—
Przyjacielu, mów modły, abyś zginął nagle.

Ho! Ho! Za nami fale, jak szakalów tłum,
Wietrzy trupy i wyciem się zwołuje z dali,

Krwia bluzgają, zmęczone, złością płacze szum,
Niech im zdobycz kto wyrwie i niech okręt spali.
Wyspa śmierci? Na Boga! o staję... o ćwierć...
Och, jakim pysznym cudem w oczach nam urosła!
Pomóżcie wichrom dobrym, by dogonić śmierć:
Oddechem dmijcie w żagle, prężcie w rękach wiosła!

MĄDROŚĆ.

Nie płacz! Nie mam litości dla tych, co umarli
I zamknęli rachunek błędem, snów zdobyczą.
Śniłeś żywot olbrzymów, wiodłeś żywot karli,
Z tych jesteś, którzy w żniwo łyżę jedynie liczą.



DIABOLO

H. von RUIITH

Nie chwytaj się nóg moich... Mam na nogach
rany,
Który pył mi gościńców wyzał wśród spiekoty,
Gdy wśród głodu i pragnień szedłem obłąkany.
Odejdź!... Twój czas się skończył... Idź grzebać
tęsknoty.

Zaprawdę, krzywd nie czynię, na nic ci obrońce!
Mym spokojem wyniosły, nad twą nędzą stoję:
Cóż mi o to, że twoje zaszło dzisiaj słońce?
Więc z drogi mi się usuń... jutro wszędzie moje!

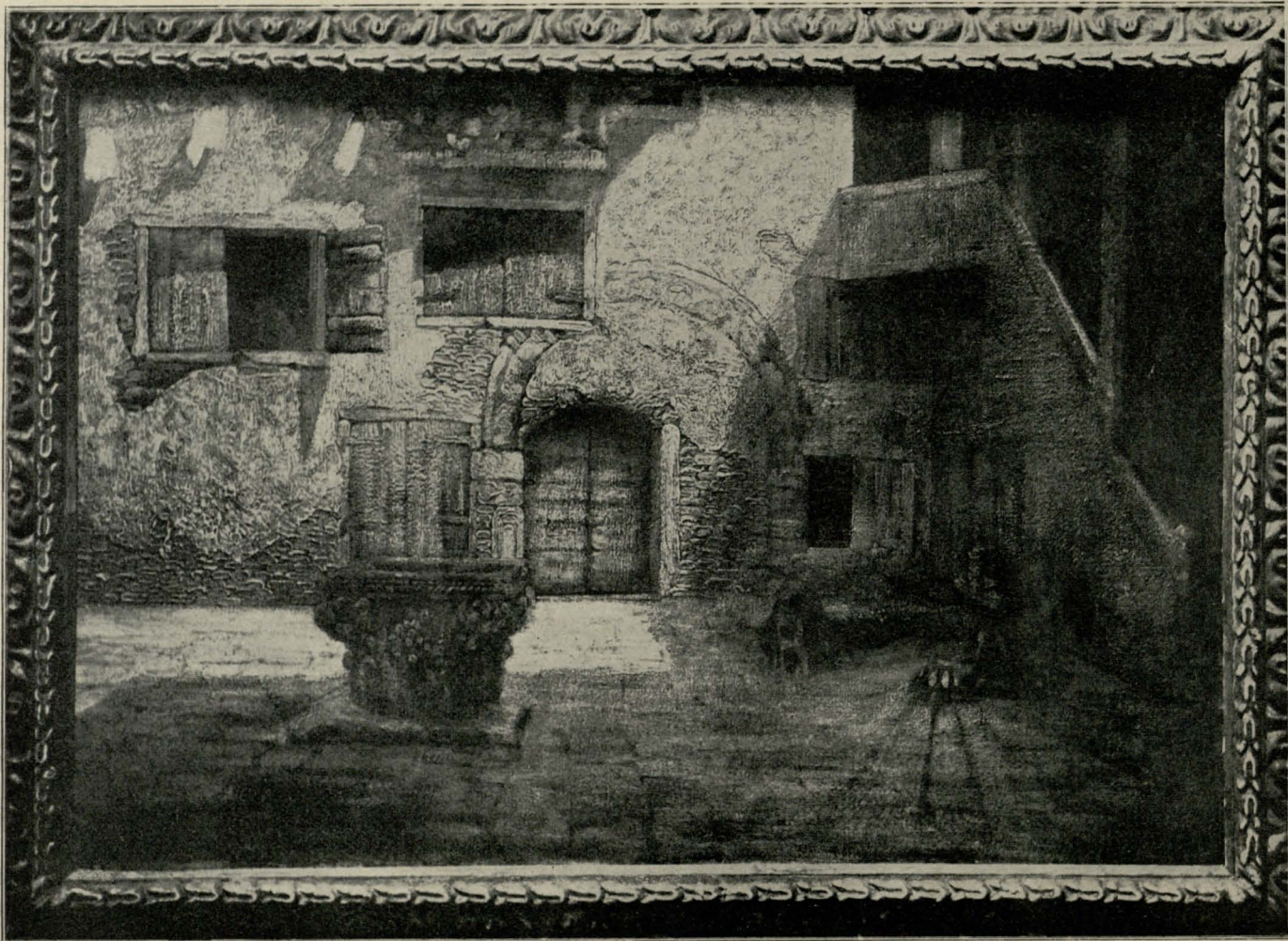
ZACHÓD.

Wytrąćcie wy z rąk temu pieśniarzowi lutnię,
Który kwili, że słońce kona w mórz topieli.
Niech idzie na cmentarze pieśń swą płakać smutnie,
Lecz precz stąd! Bładym smutkiem niechaj dusz
nie bieli.

Oto nam, jako słońcu, oczy krew zalewa,
Że dzień nasz nie uczynił nic,—na niemoc chory,
I że oto stoimy, jak powiędle drzewa,
I że nam krwią zawstydzeń pałą się wieczory.

Noc, władarz owej pracy, która krzyże łamie
I żyły krwią rozsadza i w głąb wgniata skronie,
Staneła, drwiąco patrząc, w domów naszych bramie
I liczy puste kłosa na naszym zagonie.

Głód i rozpacz nam jutro gardła ściśnie ręką,
Nie ucieszą się dusze na tych chwastów grzędzie:
Kto może, niech w śmierć chyłkiem ucieka przed
męką,
Lub niech piersi swe krwawi... Spać dziś nikt
nie będzie.



STARY PAŁAC
Z wystawy związku artystów w Londynie

GENNARO FAVAI

OR-OT: LISTOPAD.

Taki smutny, taki smutny miesiąc. Świętem umarłych rozpoczyna się i na mogiły prowadzi ludzkie serca. Żółtymi, zwiędłymi liśćmi zasypuje ziemię, niebo całunem chmur obleka, a mgłą przesłania świat, jak żałobnym welonem. Wśród mgły jesiennej szkielety drzew mającą widmowo, snują się w jej zwojach mary posępne, milczące, ciszę zaś trumienną listopada przerywa jeno żalony, monotony plusk deszczu, bijącego o szyby, lub zawodzący jęk wichru, jakby łkanie pokutujących dusz, jakby odbicie tego jęku, którym w ukryciu drżą serca przybitych, skołatanych tłumów.

Szaro i pusto i tęskno na całym obszarze zielonych i kwiatnych do niedawna ziem. Nad polami unoszą się stadem kraczące złowróźnie wrony. Tak szybowwały one nieraz w miesiącu tym i nad temi samymi polami dawno, dawno temu.

I nigdy nie przypomina się tyle grobów, tyle ofiar, tyle łez, wylanych w rozpacz, ile w tym, odartym ze złudzeń i czarów wiosnianych, ponurym, pleśnią wiejącym listopadzie.

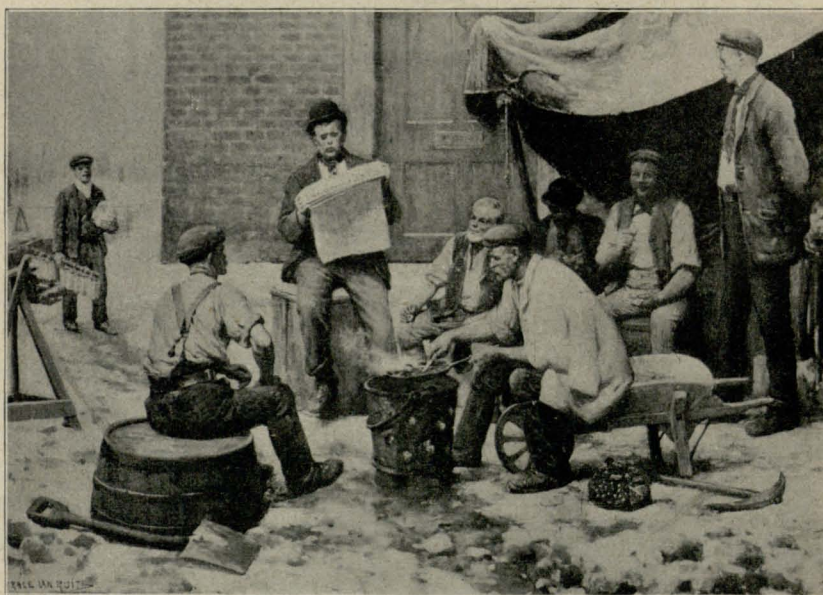
Nad miastem, które jest sercem Polski, ogniskującym w sobie wszystkie wiecznotrwałe porywy i pragnienia, kołysze się anioł melancholii listopadowej. Zmrok zalał falą ulice i zaułki miejskie, w mgłę mdławo świecą latarnie, w górze ni jednej gwiazdy.

Pochowały się one w głębiny serc i tam wyczekują stęsknione, aż ukaże się błękit pogodny, aż przedjutrzeny powiew rozproszy mgły grube, aż przestaną pła-

kać niebiosa nad ciężką, bolesciwą ludzką niedolą.

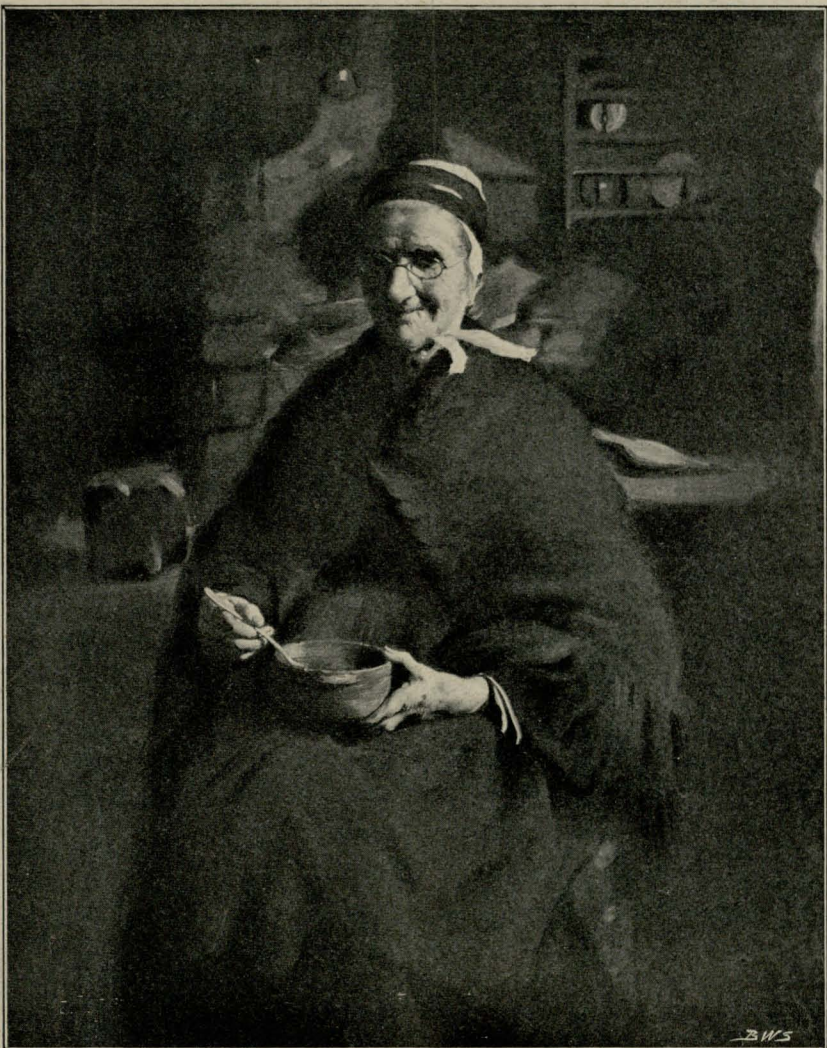
Gdybyś mógł wniknąć do wnętrza mieszkań, gdybyś, niewidzialny, wśliznął się, jako duch, w one cztery ściany, gdzie usta mówią to, co czuje serce i co myśli dusza, zaprawdę, zebrałbyś takie żniwo człowieczego bólu, iż obciążony niem wolałbyś legnąć w grobie, aniżeli żyć, wiedząc, jak cierpią i jak tęsknią bracia twoi. Wszystko utajone w ciągu długiego roboczego dnia, wszystko, co się dusi w sobie, aby nie wybuchło mściwym przekleństwem albo bezsilnym łkaniem, wydziera się z łona, jako z ciemnicy więziennej, i uderza w krzyk, który jest jakąś groźną modlitwą nędzy i beznadziei ludzkiej, wołającą w milczeniu nocnym o moc wytrwania i o widzenie jutra.

A listopad sypie poźółkłymi liśćmi i odziera drzewa z ostatnich szczątków, pięknych niegdyś, zielonych szat. Tak odlatują złudzenia, któremi karmiły się łaknące serca w czas wiosny. Tętniły one pełnią życia, rwąc się do czynu i do szczęścia, aż przyszedł listopad i zabił marzenia, jak zabiły je inne, dawniejsze listopady.



POSILEK (z wystawy związku artystów w Londynie)

H. van Ruith



STARA WIEŚNIACZKA



GUY WITHEW BOUL' MICH'
Z wystawy związku artystów w Londynie.

P. PILICHOWSKI

Paryż, Londyn, Genewa, Drezno, Konstantynopol. Ścieżki, wydeptane stopami tułaczów, zatarły się na powierzchni świata, ale w duszach widne są po dziś dzień owe drogi, które szła ich myśl błyskawicowa, rozświetlająca ciemność kazamat ludzkiego ducha. Powiedzieli sobie: „Chrystusowymi śladami iść będziemy, nie mamy w sercu nienawiści, miłość prawodawczynią jest naszą, a oto wiemy, iż blizki jest czas, w którym wypełnią się słowa Boskiego Mistrza, i wierzymy w królestwo Chrystusowe na ziemi...”

Pomarli. Prochami ich usiane są cmentarze obce, kędy nie dolata nawet wiatr z rodzinnej ziemi. I lepiej, że nie dolata! Niech śpią spokojnie ci, którzy byli, jako apostołowie dni nowych, tak dalekich, tak dalekich jeszcze.

Szumia mi o nich spadające listopadowe liście; listopadowe liście z opowieści pradziadów swych wiedzą o nich i, lecąc na wolę wichrów, podobne są do tamtych, rzuconych losiem na obce, dalekie brzegi.

Deszcz monotonna uderza w szyby i szeleści po murach kamienic. Chwieje się światło świecy w pokoju: mówią, że duch umarłego jest wtedy z nami.

Jeśli przychodzicie tu wy, którzyście odeszli, powiedzcie: azaliż jedyne szczęście jest w grobie?

Ale nie musi tak być, skoro tęsknota wypędza was z mogił cichych i każe lecieć tu, kędyście zostawili ukochanie wasze.

Zaiste! są nieszczęśnicy, którym i za

życia i w trumnie trucizną jest zbyt wielka Miłość!

* * *

Niema boleśniejszych godzin w życiu ludzkim, jak godziny pożegnań z tem, na co czekało się z takim upragnieniem i tak długo, a co odeszło, jak odchodzi wiosna, nim kwiatami rozweseliła świat, jak odchodzi lato, nim owocem rozradowało ziemię



ŚLĄZACZKA N. ARONSON
Z wystawy związku artystów w Londynie

Idzie to ukochanie między groby, których wyrosło już tyle, a w sercach rwie się i pęka ostatnia struna złota, rwie się z głuchym płaczem, łączącym się z zawrotem listopadowego wicheru i szumem liści jesiennych, co lecą na żalną ziemię, jak syпки piasek na trumienne wieko.

Cały ten świat jest jako jeden wielki mogiłek, na którym codzien przybývają nowe kurhany, kryjące ludzką wiarę i ludzką nadzieję. I gdyby w zadusznym dniu ideałów człowieczych serc, na kurhanach tych zapalić lampki pamięci i żalu, tedy ziemia, jak szeroka i długa, stanęłaby w pożarnej łunie, bijącej w niebo z przypomnieniem strat, krzywd, ran i bezdennej, niezgłębionej tęsknoty.

Takie myśli nawiewa listopadowy zmierzch i wyciska z oczu gryzące łyzy krwawego bólu. Pochyla się zmęczona głowa na stroskaną pierś, i w głuchej rozpaczycy zastyga serce, tak niedawno jeszcze pełne życia i siły.

Legenda listopadowych dni, szara, smutna, posępna legenda, wlecze się od chat do chat, od domów do domów, czarną krepą przesłania źrenice, przysiadła na leśnych zapomnianych grobowcach, uderza w dzwony pogrzebne i woła wielkim głosem o tem, co umarło.

Ale dusza, która jest nieśmiertelna, umie odgadnąć tajemnice pozornych zgonów i z poza listopadowych całunów wydziera się w przyszłość w jakiś nowy, zmartwychpowstały, pamiętny sercom—Maj.



„Nagle dał się słyszeć skrzyp wózka...”

STANISŁAW JANOWSKI

GABRYELA ZAPOLSKA:

TAKA BYŁA SŁODKA!...

NOWELA.

5)

W Praterze od walców było tak gwaro, od powozów tak rojno, że Sadowski i Ama doznali zawrotu i pewnego upojenia. Szczera, skromna jakaś, pomimo obecności mnóstwa kokotek i innych tego rodzaju amfibii, wesołość narzuciła się na nich, jakby złocistą siatką. Wsiedli do łódki, uczepionej na ogromnym kole, i wzniesli się w górę.

Tak wysoko, z gazą białą, rozwianą na wiatry, z jasną pelą włosów, odwróciła się ku niemu uśmiechnięta a troskliwa.

— Czy nie doznaje pan zawrotu głowy?

— Nie.

— Bo, skoro ktoś osłabiony. Zdaje mi się, że pan trochę pobladł. Proszę przybliżyć się do mnie.

Ujęła go pod rękę. On drugą ręką przycisnął jej ramię.

Pod leciuchnym muślinem bluzki uczył jej ciało i drobniuchny szkielet. Doznał dziwnego wzruszenia. Była mu tak bliska i byli tacy sami.

— Ama!... ty!...

Pochylił się i pocałował ją w same usta.

Potem czekał, że się obrazi i powie mu co przykrego.

Ale ona milczała i tylko miała dziwny wyraz ust. Jakby bolesny, jakby słodko rozmarzony.

I tak dojechali aż na dół, gdzie zgrzytała olbrzymia katarynka walca z „Wesołej wdówki“, a pomocnicy w bluzach zapalali

japońskie latarnie, które nigdy Japonii nie widziały i ujrzeć nie miały.

Sadowski z gracyą, pomimo pewnej ciężkości, z jaką mu nogi przylepiały się do ziemi, podał rękę Amie.

— Nie obraziła się—pomyślał—i wreszcie coś udało mi się skorzystać.

Ale usta były bardzo miłe... ciepłe, słodkie i ten jeden pocałunek rozbudził w Sadowskim jakby tysiące drżących igiełek.

— Gdyby jeszcze coś więcej...—rozczuwał się w myślach, płacąc za jeden *tour* nadpowietrznej jazdy.

V.

Przyszło to coś więcej tak łatwo, tak, można rzec po galicyjsku, *pojedyńczo*, że Sadowski wyjść z podziwienia nie może.

Osunęła mu się w ramiona pewnego popołudnia, prawie niespodzianie, mdlejąc nader estetycznie w fałdach swych zielonych kreponów.

Była w miarę namiętą, sennie wyczerpaną, nie tracącą pewnego majestaciku, a ulegle wdzięczną. Zwłaszcza miała śliczne „po“, bez łamania rąk, bez wzdychania: „cóżem uczyniła“. Zamyśliła się tylko leciuchno, i uśmiech ten bolesny zaznaczył się troszka silniej koło ust różowych. Prędko jednak otrząsnęła się z tej zadumy, zbliżyła się do okna, zaczepiwszy mimochodem o lustro i puszkę z pudrem, wysunęła rękę, zerwała jedną świeżą różę i podała ją Sadowskiemu, mówiąc prawie szeptem:

— Na pamiętkę...

Wziął kwiat i ucałował go z uniesieniem studenta. Potem zachwycił się Amą i tem, że jest tak doskonałą w tak niebezpiecznej dla kobiety chwili. Nawet aż przeżęła go ta doskonałość. Pomimo iż według jego teorii nie była już „nic warta“, zachowywała jakoś w jego pojęciu dawną wartość. I to go derutowało. Nie była to rutyna. O to jej nie posądzał i tego instynktem nie wyczuwał. Ale to był przedziwny takt i ta królewska słodycz czyniącej ze siebie monarszy dar niewolnicy.

Zbliżyli się teraz trochę więcej, a właściwie to ona zaczęła teraz wychodzić już poza ramy codziennej troski o zdrowie.

W antraktach miłosnych ekstaz naprowadzała go na opowiadania o tem, czem był, czem jest, czem być zamierza. Sadowski rozmawiał chętnie, będąc od śmierci matki pozabawiony babskiego „naciągania na słówka“. Lżej mu było chwilami. Place i ich przyszłość często przychodziły na temat, Ama szczerze interesowała się nimi, przepowiadając, że przez te place stanowczo musi być przeprowadzona ulica.

— Zobaczysz—mówiła—ulica...

— Skąd wiesz?

— Nie wiem, ale mam takie przecucie.

— Trzeba więc przetrzymać.

— Tak, trzeba przetrzymać.

Siedzieli na ławce, koło klombu heliotro

pów, a muzyka, która grała cztery razy dziennie walca z „Wesołej wdówki“, grała znów tego samego walca. Ale oni nie słyszeli. Rozmawiali o placach i trzymali się za ręce. Krzaki jaśminowe kryły ich przed oczami przechodzących. Nagle dał się słyszeć skrzyp wózka. Wieziono paralytyka. Sadowski drgnął. Ama słodkie swe oczy utkwiała w niego pytająco.

- Co ci jest?...
- Och! ten wózek.
- Skrzypi nieprzyjemnie.
- To nie wszystko. Ja boję się!
- Ty? przecież to nie wariat...!
- Ale... paralytyk.

— A ty się boisz... tej choroby?

— Tak.

Mówi cicho, głowę skurczył w ramiona. Wózek z paralytykiem przejechał.

— Och! a!eż to szaleństwo... co znowu?

— To jest moja mania.

Słodko do niego się przygarnęła.

— Rzeczywiście mania. Proszę o tem nie myśleć, ja chcę, ja proszę...

Ale—

Ale myśl o tabetyku nie ploszy się już z umysłu Sadowskiego. Już słodka donna i jej biały welon tracą widać moc. Pomimo jej rączek, tak miluchno wplecionych w jego palce, pomimo ocząt, w półmroku w niego

wpatrzonych, skrzyp wózka przejeżdża ciągle po mózgu, po sercu.

— Tak, tego się boję — myśli Sadowski.

Wracają po kolacyi do swego pawilonu, w klomby róż.

Jak kadzielnice, rozmodliły się wonią słodkie kwiaty w tę księżycową noc.

Pod jej drzwiami żegnają się długim uściskiem ręki. Kurytarzowa czyści na końcu kurytarza suknie.

— Do jutra!

— Do jutra!

Pierwszy raz Sadowski uczuwa jakby ulgę, pozostając sam. (DCN)

ALEXANDER KRAUSHAR:

Ostatni czyn ostatniego naczelnego wodza

EPILOG WOJNY 1831 R.

Rycerski charakter nieopatrznie rozpoczętego, lecz z niezmierną ofiarnością całego Narodu i jego Rządu prowadzonego powstania listopadowego utrzymał się do ostatnich chwil kampanii, która tegoż powstania była następstwem. W dniu 9 września 1831 r., gdy po wroczeniu wojska rosyjskiego do Warszawy szczątki armii polskiej z mocy układów kapitulacyjnych cofnęły się pod Modlin, nowy, ostatni Prezes Rządu Narodowego, Bonawentura Niemojowski, zwołał radę wojenną, na której miano obrać naczelnego wodza. Zgromadzeni wojskowi większością głosów powołali na tę godność generała Macieja Rybińskiego, dzielnego żołnierza, człowieka wysokich cnót obywatelskich, lecz pozbawionego tej energii i stanowczości, jakich krytyczna chwila dogasającego powstania wymagała.

Oporność generała Ramorina, który, wbrew rozkazowi przybycia z armią również do Modlina, cofnął się w Krakowskie, gdzie go niebawem poza austriacką wyparto granicę, zmniejszyła i tak już słabe widoki jakiegokolwiek powodzenia orężnego korpusu Rybińskiego, w przewidywanem starciu z następującym mu na pięty przeciwnikiem.

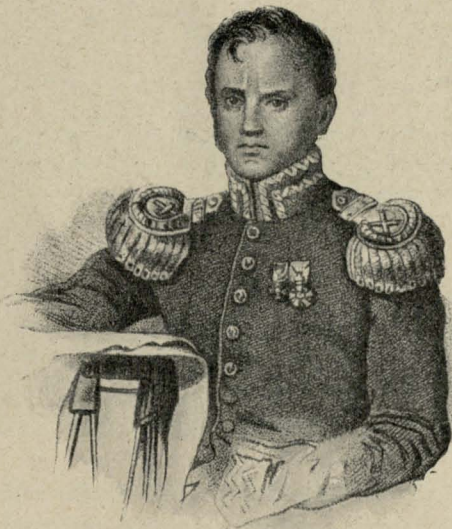
Jakoż krótkotrwała naczelną władza Rybińskiego, niespełna miesiąc trwająca, wyraziła się w szeregu rozporządzeń przeciwnych zamiarom nielicznej już garstki zdecydowanych na bój ostateczny oficerów i dążyła przedewszystkiem do wyjednania od marszałka Paskiewicza honorowych dla wojska polskiego warunków kapitulacyi.

Za wędrownym rządem narodowym, który z Modlina przenosił się kolejno do Zakroczyimia, Płocka i do miejscowości nadgranicznych pruskich, pociągnęła pod wodzą generała Rybińskiego reszta armii polskiej, w liczbie 20 tysięcy żołnierza.

W dniu 23 września 1831 r. ostatni Prezes Rządu, Niemojowski, wyjechał do Prus, złożywszy uprzednio całkowitą władzę w ręce Rybińskiego.

Skorzystał z tego wódz naczelnny, by wśród rozprężenia karność w wojsku i ujawniających się oznak otwartego przeciw jego władzy protestu ze strony oficerów zejść przynajmniej z honorem z pola działalności i nie dopuścić, by powierzony jego opiece dobytek narodowy, przy wkroczeniu w dzielnicę pruską, na szwank narażony został.

Poleciwszy dnia 27 września generałowi Milbergowi, by w rokowaniach z generałem Bergiem uczynił wszystko, co tylko w mocy jego było, aby szczątki armii polskiej mogły uzyskać warunki honorowe poddania się, miał jeszcze ostatni wódz naczelnny nadzieję, że taką ofiarą okupi przynajmniej możność utrzymania w kraju tysięcy



Generał Maciej Rybiński.

rycerskiej młodzieży, bez potrzeby narażenia jej na klęskę wyemigrowania na obczyznę.

Gdy te nadzieje, skutkiem katastrofy, jaka armię Ramorina, do Austrii wepchniętą, spotkała, oraz wobec twardych warunków, narzuconych armii Rybińskiego, wbrew pierwotnym łaskawym obietnicom ze strony feldmarszałka Paskiewicza, zawiodły, nie pozostało Rybińskiemu, jak tylko wydać rozkaz cofnięcia się za granicę kraju i złożenia broni na ziemi pruskiej.

Przedewszystkiem jednak, jako człowiek honoru, pomyślał Rybiński o ocaleniu dla kraju sum bankowych, przeszło sześć milionów wynoszących, które z rozkazu Prezesa Rządu, Niemojowskiego, przy opuszczeniu Warszawy przez rząd, sejm i wojsko, znajdowały się przy armii wędrownej i pozostawały pod nadzorem Henryka Łubieńskiego.

Gdy w drodze ku granicy pruskiej zatrzymały się szczątki armii w Szpetalu i tam ostatecznie postanowiono wkroczyć do Prus, wydał wódz naczelnny rozkaz, by pułk trzeci szwoleżerów i szwadron Mazurów przeprowadziły bezpiecznie skarb narodowy do Torunia, gdzie też istotnie sześć milionów złotych polskich powieziono i wydano w ręce władz pruskich, tytułem depozytu, do czasu zażądania ich wydania przez nowe władze Królestwa. Co się z owymi milionami stało? czy i kiedy wydanie ich nastąpiło? nie mam — narazie — informacji dokładnej.

Chodzi mi tylko w tem miejscu o zaznaczenie wysoce obywatelskiego postępku generała Rybińskiego, który, mogąc prawem wojny obrócić fundusz narodowy na potrzeby wojska i jako za-

bezpieczenie względne jego bytu na emigracyi, uważał za punkt honoru — zwrócić krajowi zasoby, z Banku jego, podczas powstania na cele wojenne zebrane.

Ta obywatelskość uczuć generała Rybińskiego odbiła się nawet w sprawach mniejszej wagi, np. w fakcie dobrowolnego wydania władzom rosyjskim całego dobytku Zamku królewskiego.

Mam w tej mierze dowody, zacerpnięte z akt b. kancelaryi Namiestnika Paskiewicza z roku 1831, w archiwum przy ulicy Jezuckiej przechowywanych, z których następujące ciekawe podają szczegóły.

Godność Naczelnego Wodza skojarzona była nieodłącznie z pewnym splendorem zewnętrznym, już to z racyi wysokiego stanowiska w hierarchii wojskowej, już też z uwagi na konieczność oddziaływania przepychem reprezentacyi zewnętrznej na lud prosty i na szeregowców. Wszelkie zatem rekwizyty, w tej mierze niezbędne, brano z b. Zamku królewskiego, na którego etacie figurowała zawsze suma pokaźna na utrzymanie w należytej ilości i w dobrym stanie sreber stołowych, naczyń kuchennych, szkła i bielizny stołowej, koni, powozów, zaprzęgów, służby stajennej i masztalerzy.

Po zamianowaniu Macieja Rybińskiego Wodzem Naczelnym wszystkie owe rekwizyty i cała służba oddane mu zostały do rozporządzenia.

W dniu 4 października 1831 r. główna kwatery wojska znajdowała się w pobliżu granicy pruskiej, we wsi Szczutowie, w odległości kilku wiorst od Rypina. Stamtąd też przesłał Naczelnny Wódz do Gubernatora wojennego miasta Warszawy, hr. Witta, list w języku francuskim następującego brzmienia:

„Panie hrabio!

„Rząd Narodowy wyznaczył był dla głównej kwatery wojskowej pewną liczbę wierzchowców i karet, jak również inne przedmioty, wzięte ze stajen, wozowni i magazynów zamkowych. Zna glony wypadkami do szukania w Prusiech przytułku wraz z armią, której miałem zaszczyt być wódzem, pośpieszyłem z wezwaniem dowódcy awangardy wojsk rosyjskich, by mi niezwłocznie przysłał oficera, dla zabrania owych rzeczy, według wykazu, przy niniejszem dołączonego, i wydał mi stosowne pokwitowanie z ich odbioru.

„Uważam również za swój obowiązek uprzedzić Cię o tem, panie hrabio, w przekonaniu, że zarządysz konieczne środki, by transport powyższych przedmiotów doszedł swego przeznaczenia.

„Proszę Cię, panie hrabio, przyjąć zapewnienie mego poważania.

Wódz Naczelnny armii polskiej *Rybiński.*“

Wykaz, do listu dołączony, zawierał następujące szczegóły:

Srebro, bielizna i inne naczynia, wraz ze specyfikacją koni powozowych, zaprzęgów, siodel i ludzi do obsługi.

Wykaz wierzchowców i koni, między którymi znajdowały się:

Klacz *Neli*, konie: *Traveller, Harald, Achilles, Janczar, Arli, Grog, Windsor, Mar, Tortil, Hamlet, Mars, Bellona, Rossa, Afela, Wogas, Babuk, Nazon, Kalef, Bella*.

Konie powozowe: *Annibal, Nestor, Souksy, Feniks, Beakon*.

Zaprzęgi, powozy i bryczki.

Stangreci i masztalerze.

Wcześniej już granicę pruską przejechał b. Prezes Rządu Narodowego, Bonawentura Niemojowski, i, zanim zdążył uczynić krok taki, jaki spełnił z dobytkiem narodowym generał Rybiński, Prusacy zatrzymali ów dobytek i obłożyli go aresztem, rzekomo na zasadzie konwencji, w dniu 14 czerwca 1831 r. z Rosją zawartej, mocą której wszelka własność powstańców, na terytorium pruskim pochwycona, aresztowi podlegała.

O przyaresztowaniu rekwizytów, przy Niemojowskim znalezionych, zawiadomił Radca gubernialny kwidziński, Schleinitz, najbliższy posterunek graniczny rosyjski, w skutek czego dnia 13 października 1831 r. dowódca Łomonow przesłał do feldmarszałka Paskiewicza raport, z doniesieniem, że od b. Prezesa Rządu Narodowego, do Torunia przybyłego, odebrano (*otobrano*) trzy karety i 12 zaprzęgów, pochodzących ze stajen królewskich w Warszawie.

Doniósł przytem Łomonow, że, jakkolwiek w myśl konwencji z 14 czerwca rekwizyta powyższe podlegały sprzedaży przez licytację, jednakże, w danym wypadku, Rząd Gubernialny, mając na względzie, że stanowią one własność cesarską, zażądał od Łomonowa odpowiedzi, czyli przytrzymany dobytek sprzedać, lub też w naturze go wydać władzom rosyjskim?

Łomonow zażądał przeprowadzenia aresztowanych koni, powozów i zaprzęgów do Torunia, by je stamtąd co najrychlej wytransportować do Warszawy.

O liście Rybińskiego i o raporcie Łomonowa feldmarszałek Paskiewicz doniósł cesarzowi Mikołajowi.

W dniu 27 października 1831 r. nadeszła odezwa ks. Wolkońskiego, z Moskwy do Paskiewicza wystosowana, w której zawiadomiono, że cesarz rozkazał pozostawić uznaniu feldmarszałka: które z powyższych rekwizytów zamkowych pragnie zachować dla swego użytkowania, resztę zaś, mianowicie konie wierzchowe, powozowe i artyleryjskie, rozkazał cesarz dostawić do Petersburga.

Nazajutrz po wysłaniu odezwy do gubernatora hr. Witta, dnia 5 października 1831 r. wojsko polskie pod Szulcowem wkroczyło w granice pruskie. Scenę złożenia Prusakom broni pod Brodnicą (Strasburgiem) w rzewny sposób opisuje Barzykowski (T. V, str. 382). Podnosi przytem z uznaniem szlachetność generała pruskiego Zeppelina (prawdopodobnie ojca głośnego obecnie balonisty), który okazał się żołnierzem pełnym rycerskiego dla niedoli tułaczy współczucia.

„Przyjęcie jenerała Zeppelina było nie tylko przyzwoite, ale i szlachetne—pisze Barzykowski—zdaje się, że czuł świętość naszej sprawy i ocenił waleczność i poświęcenie wojsk naszych. Sam osiwił w bojach za ojczyznę, umiał przeto i drugich usługi uszanować i wśród nieszczęścia nieść im osłodę“.

WŁADYSŁAW ST. REYMONT:

CHŁOPI. LATO.

45)

Stary ześlił się srodze, ale jeno powiedział:

— Ścierwy! Już nawet siwych włosów nie poszanują.

— A to i każdą siwą kobyłę trzaby uważać, jeno za to, co siwa, hę?

Gruchnęły śmiechy, i wraz zaczęli się odwracać, podnosząc oczy na dach kancelaryi, kaj wlażył stójka i, chyciwszy się komina, patrzył w dal.

— Józek, a zamknij gębę, bo ci jeszcze co wleci!—krzyczeli z prześmiechem, gdyż całe stado gołębi kołowało nad nim, ale on naraz zawrzeszczał:

— Jedzie! Jedzie! Już na skręcie z Przyłękul!

Gromada jęła się ścigać pod dom i zwierać coraz gęściej, cierpliwie jeno spozierając na pustą jeszcze drogę.

Rychtyk i słońce przetoczyło się ździebko na bok, za kalenicę, że z pod okapu wysuwał się coraz większy cień, w którym ustawili stół, nakryty zielono, z krzyżem w środku. Rudy, pucołowaty pomocnik wynosił papiery na stół i ciągiem cosik w nosie majdrował. Pisarz jął się na gwałt przebierać w świąteczny ubier, a w całym domu znowu podniosły się wrzaski pisarzowej, brzęk talerzów, rumor przesuwanego sprzętu i bieganina, zaś w jakieś Zdrowaś zjawił się i wójt. Stał w proggu, czerwony, jak burak, i spocony, ledwie zipiący, ale już w łańcuchu i, powlókłszy ślepiami po gromadzie, zakrzyzczał srogo:

— Cicho tam, ludzie, dyć to nie karczma!

— Pietrze, a chodźcie ino, cosik wama rzeknę!—zawołał do niego Kłęb.

— Hale, niema tu żadnego Pietra, a jeno urzędnik!—odburknął wyniośle.

Wzięli na ozory to powiedzenie, jaże

się kądunicy zatrzęsły z uciechy, gdy naraz wójt zakrzyzczał uroczyście:

— Rozstąpta się, ludzie! Naczelnik!

Jakoż powóz ukazał się na drodze i, podskakując na wybojach, zakręcił przed kancelaryę.

Naczelnik podniósł rękę do czoła, chłopci pozdejmowali kapelusze, zaległo milczenie, wójt z pisarzem przypadli wysadzać go z powozu, a strażnicy stanęli przy drzwiach, wyprostowani, kieby kije.

Naczelnik dał się wysadzić i rozebrać z białego obleczenia i, odwróciwszy się, powlókł oczami po gromadzie, przyglądził żółtawą bródkę, nasrożył się, kiwnął głową i wszedł do mieszkania, kaj go zapraszał pisarz, w pałak przygięty.

Powóz odjechał, chłopci znowu się zwarli dokoła stołu, rozumiejąc, iż zaraz rozpocznie się zebranie, ale przeszło dobre Zdrowaś, przeszedł może i cały pacierz, a naczelnik się nie pokazywał, jeno z pisarzowych pokojów roznosiły się brzęki szkła, śmiechy i jakieś smaki, wierzące w nozdrzach.

A że mierziło się już czekanie i słońce przypiekało coraz barzej, to jaki taki jął się chyłkiem przebierać ku karczmie, aż wójt zakrzyzczał:

— Nie rozłazić się! A którego zbraknie, ten się zapisze do sztrafu...

Juści co się jeszcze wstrzymali, klnąc jeno coraz siarczyściej a niecierpliwie spozierając na pisarzowe okna, bo ktoś je przymknął ze środka i zasłonił.

— Wstydzą się chlać na oczach!

— Lepiej, bo każdy jeno grdyką robi, a po próżnicy ślinkę łyka!—pogadywali.

Z aresztu, stojącego w rząd z kancelaryą, wyrwał się żałosny i długi bek, a po chwili wylażył stójka, ciągnąc na postronku sporego ciołka, którego się opierał ze wszyst-

kiej mocy, ale naraz grzmotnął go łbem, jaże chłop rymnął na ziemię, zadarł ogona i pognał, ino się za nim zakurzyło.

— Łapaj złodzieja! Łapaj!

— A posyp mu soli na ogon, to się wróci!

— Jaki to zuchwały, uciekł z kozy i jeszcze ogon zadarł na pana wójta!

Dogadywali, przekpiwając się ze stójki, którego ganiał za ciołkiem i dopiero przy pomocy sołtysów napędził go w podwórze. A jeszcze nie odzipnęli, kiej wójt przykazał wziąć się do wymiatania aresztu, i sam doglądał, pilił i niemało pomagał, bojąc się, bych się czasem nie zachciało tam zajrzeć naczelnikowi, nim zdąży wyprzątnąć.

— Wójcie, a trza wykadzić, bych nie zwąchał, co to był za aresztant.

— Nie bójcie się, po gorzałce do cna straci wiater.

Rzucal kto niekto jakie słowo kolące, jaże wójt błyskał ślepiami a zęby zacinał, ale w końcu zbrzydły im nawet przekpinki, a tak dokuczycie czekanie na słońcu i głód, że całą hurmą ruszyli pod drzewa, nie bacząc na wójtowe zakazy, któremu jeno Grzela powiedział:

— Hale, naród to pewnie pies, nie przyjdzie ci do nogi, choćby krzyzczał do wieczora!—i rad, iż zeszedli ze strażnikowych oczów, jął znowu kręcić się wśród ludzi, przypominając każdemu zosobna, jak ma głosować.

— Jeno się nie bójt!—dodawał—prawo za nami! Co uchwalimy, będzie, a czego nie chce gromada, nikt ją do tego nie przymusi.

Ale nie zdążyli się jeszcze ludzie porozkładać w cieniach, ni przegryźć coniebażd, gdy sołtysi jęli nawoływać, a wójt przyleciał z krzykiem:



PRÓBA (z wystawy sztuki w Londynie)

L. CAMPBEL TAYLOR

— Naczelnik wychodzi! Chodźta prędzej! zaczynamy!

— Nawąchał się dobrego jądła, to go ponosi! Nama nie pilno! Niech poczeka!

Mamrotali gniewnie, zbierając się ociężale przed kancelaryą.

Soltysi stanęli na czele swoich wsi, zaś wójt zasiadł za stołem, mając pobok pisarzewego pomocnika, którego, przedlubując w nosie, gwizdał na gołębie, co, zestrachane gwarem, porwały się z dachu, krążąc roztrzępotane, białą chmurą nad głowami.

— Mołczat'!—zakrzyknął naraz jeden ze strażników, prężących się u proga.

Wszystkie oczy zwróciły się na drzwi, ale wyszedł z nich jeno pisarz z papierem w rękę i wcisnął się za stół. Wójt zatrząsł dzwonkiem i rzekł uroczyście:

— Zaczynamy, ludzie kochane! Cicho tam, Modliczaki! Pan sekretarz przeczyta niby o tej szkole! A słuchajta pilnie, bych każdego wyrozumiał, o co idzie!

Pisarz założył okulary i zaczął czytać zwolna i wyraźnie.

Czytał już może z pacierz, wśród zupełnej cichości, gdy ktoś wrzasnął:

— Kiej nie rozumiemy!

— Czytać po naszymu! Nie rozumiemy! — zerwały się mnogie głosy.

Strażnicy jęli się pilnie rozglądać w gromadzie.

Pisarz się skrzywił, ale już czytał, przekładając na polskie.

Zrobiło się cicho, słuchali w skupieniu, rozważając każde słowo i patrząc się w niego, kieby w obraz. Pisarz ciągnął powoli:

...jako przykazano postawić szkołę w Lipcach, któraby była i dla Modlicy, Przyłęka, Rzepek i drugich pomniejszych wsi.

Potem długo wywodził, jaki to z tego będzie profit, jakie to dobrodziejstwo oświata, jak to urzędy jeno myślą dzień i noc, bych tylko narodowi przyjść z pomocą, bych go wspierać, oświecać i bronić przed złem. Zaś w końcu wyliczał, ile potrzeba na plac z polem, ile na sam budynek i na całe utrzymanie szkoły, wraz z nauczycielem, i że na to wszystko trzeba będzie uchwalić dodatkowy podatek po dwadzieścia kopiejek z morgi. Umilkł, przetarł okulary i rzekł jakby do siebie:

— Pan naczelnik powiedział, że, jak dzisiaj uchwalicie, to pozwoli zacząć budowę jeszcze w tym roku, a na przyszłą jesień dzieci już pójda do szkoły.

Skończył, ale nikt się nie odezwał, każdy coś ważył w sobie, kuląc się jeno, jakby pod ciężarem nowego podatku, aż dopiero wójt się ozwał:

— Słyszeliście dobrze, co pan sekretarz przeczytał?

— Słyszeli! Juścik, przeciek nie głusim!—ozwali się tu i owdzie.

— A kóten ma przeciw temu, niech wystąpi, a swoje rzeknie.

Jęli się trącać łokciami, wypychać naprzód, drapać, spojierać na się i na starszych, lecz nikt nie miał śmiałości wyrwać się pierwszy.

— Kiej tak, uchwalmy prędko podatek i do domu!—zapropozował wójt.

— Więc cóż, wszyscy jednogłośnie zgodzacie się?—zapytał uroczyście pisarz.

— Nie! Nie chcemy! Nie! — wrzasnął Grzela i za nim kilkudziesięciu.

— Nie potrzeba nam takiej szkoły! Nie chcemy! Dostyc już mamy podatków! Nie! — wołano już ze wszystkich stron, a coraz śmiej, głośniejsz i hardziej.

Na ten wrzask wyszedł naczelnik i stanął w progu, przycichli na jego widok, a on poskubał bródkę i rzekł wielce łaskawie:

— Jak się macie, gospodarze?

— Bóg zapłać!—odparli pierwsi z bręga, kolebiąc się pod naporem gromady, pchającej się naprzód, aby posłuchać naczelnika, którego wsparty o futrynę, jął cosik mówić po swojemu, ale mu się ciągiem odbekiwało i język się płał, a strażnicy skoczyli w naród i dalejże wołać:

— Szapki dołoj! szapki!

— Poszedł ścierwo i nie płacz się pod nogami!—zaklął ktoś na nich. (DCN)

ŚRÓD PYŁÓW NIESKOŃCZONOŚCI.

1)

Znany astronom i popularyzator wiedzy, Kamil Flammarion, przedstawia w sposób, przykuwający uwagę czytelnika, w zeszycie wrzesniowym miesięcznika londyńskiego *The Strand Magazine* wycieczkę w sfery ziemskie, wśród tych pyłów nieskończoności, których widok tak nas zachwyca w piękne noce letnie, tak usposabia do marzeń i zmusza do zastanawiania się nad wielką tajemnicą istnienia.

* * *

Ciche pustynie księżycy—pisze Flammarion—jakkolwiek tak bardzo dalekie, jeżeli mierzyć będziemy odległości miarami ziemskimi, są, zaprawdę, tylko przedmieściami planety naszej w porównaniu do przestrzeni bezgranicznych, istniejących poza niemi.

Zbadajmy przestrzeń te w towarzystwie czytelników.

Niedaleko, niedaleko według pojęć astronomicznych, gdyż w odległości mniej więcej 50 milionów mil angielskich *), znajdujemy świat bardzo ciekawy.

Światowi temu nadaliśmy nazwę Marsa.

Widzimy tu, jak na naszym świecie, lądy i morza, oraz zmiany pór roku ze wszystkimi ich niezliczonymi odmianami. Odważni podróżnicy ziemscy napróżno usiłują dotrzeć do biegunów, urągających dotychczas wszelkim usiłowaniom, bieguny za to Marsa badamy bez trudności, a warunki ich meteorologiczne nie stanowią dla nas tajemnicy. W czasie zimy pokrywa ją warstwa śniegu, której obszar zmierzyć możemy dokładnie. Każda też zmiana w tych warstwach śniegowych dostępna jest naszej obserwacji, dopóki nie znikną niemal zupełnie z następującym latem. Czasami też można tam zauważyć w atmosferze obłoki, zwykle bardzo przezroczyste. O ile się zdaje, klimat Marsa jest bardzo przyjemny, pogoda bowiem panuje tam niemal wieczna. Warunki życia na tej planecie podobne są do naszych. Mars bowiem dokonywa obrotu dokoła osi w takim samym prawie przeciągu czasu, jak i Ziemia, bo w 24 godziny, 37 minut i 22,65 sekund. Ale, jakkolwiek ogólne warunki bytu nie bardzo różnią się od warunków obowiązujących na Ziemi, to jednak życie na Marsie jest niemal dwa razy dłuższe od naszego, gdyż rok marsjan liczy 668 dni.

Co wszakże uderza nas najbardziej podczas podróży do tego świata, to kanały o liniach prostych, tworzące na jego lądach rodzaj sieci, zbudowanej geometrycznie. Co znaczą te kanały? Oto pytanie, zadawane sobie nawzajem przez astronomów od lat prawie trzydziestu, a mianowicie od chwili, w której linie te po raz pierwszy spostrzegł dyrektor obserwatorium medyolańskiego, Schiaparelli. Przeznaczenie ich było i jest dotychczas przedmiotem domysłów tysiącznych.

To rzeki—powiadają jedni.—Zapatrzywanie zupełnie fałszywe, odpierają natychmiast drudzy, wszystkie bowiem te strumienie biorą początek w morzu lub jeziorze i kończą się także w morzu lub jeziorze, nie zmieniając w biegu szerokości. Kanały te, słyszymy też często, stanowią olbrzymie dzieło inżynierów tamtejszych. Istnieją wszelako także astronomowie, zamykający dyskusję wszelką twierdzeniem, że kanały owe nie istnieją właściwie, będąc prosto wytworem złudzenia optycznego.

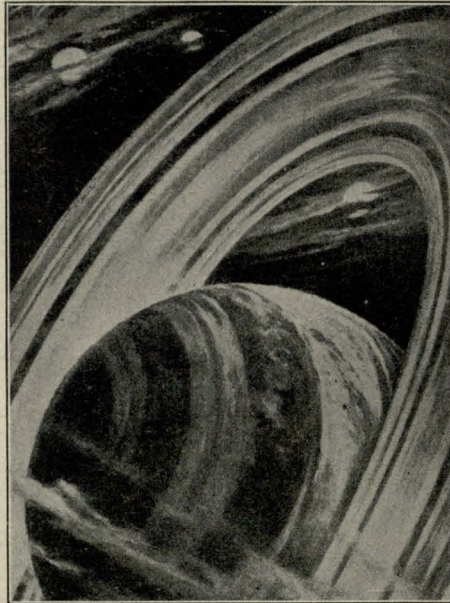
A jednak rozpadliny te, czy jak tam nazwiemy owe linie, istnieją bez wątpienia, czy to stanowią prądy wodne, czy też ziemie stepowe, zalewane peryodycznie przez wodę.

Wiele wszelako pozostaje jeszcze do zrobienia, zanim będziemy w stanie określić ściśle ich znaczenie.

To tylko możemy oświadczyć zupełnie pewnie, że system wodny Marsa różni się bardzo od systemu wodnego Ziemi. Powodzie peryodyczne, powtarzające się na Marsie każdego lata skutkiem topnienia śniegów, rozprowadzane są, jak przypuszczamy, za pomocą owej sieci kanałów po wszystkich lądach. Gdyby hipoteza powyższa była słuszna, to kanały na Marsie stanowiłyby najgenialnej pomysłu system hydrograficzny. A słuszna być może. Nie należy bowiem zapominać, że nawet wśród okoliczności najbardziej przychylnych obserwacyom, mianowicie w epokach, gdy Mars znajduje się najbliższej Ziemi, t. j. w odległości mniej więcej 50 milionów mil angielskich od niej, przy pomocy najlepszych nawet te-

leskopów, powiększających przedmiot obserwowany o 3,000 razy, widzimy Marsa w odległości 12,500 mil angielskich. Istnieje zatem szerokie pole do domysłów wszelkiego rodzaju.

Przypuśćmy, że możemy wznieść się balonem nad Londyn tak wysoko, aby wzrok nasz sięgał na odległość kilku tysięcy mil angielskich. Osiągnąwszy wysokość powyższą, wyobraźmy sobie, że zwracamy oczy w kierunku Petersburga. Wyobraźnia nasza, natchnio-



PIERŚCIENIE SATURNA.

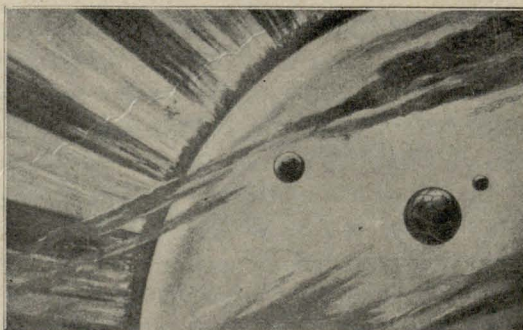
Żaden może z widoków sklepienia niebieskiego nie robi wrażenia takiego, jak dziwny i cudowny widok pierścieni Saturna, okalających olbrzymią tę planetę, a widocznych przy pomocy teleskopu w noc gwiazdzistą.

na wspomnieniach tego, co czytaliśmy w książkach i dziennikach, pozwoli nam bez wątpienia dojrzeć wiele szczegółów, wistocie jednak oczy nasze dojrzą z takiej odległości bardzo mało. Odległości zaś pomiędzy Londynem a Petersburgiem wynosi w linii prostej mniej niż 1,700 mil, a więc zaledwie $\frac{1}{8}$ odległość pomiędzy Ziemią a obrazem Marsa, widzianym przez teleskop najsilniejszy, wśród okoliczności najbardziej sprzyjających obserwacyi.

Nie miejmy wobec tego złudzenia co do znajomości naszej stosunków panujących na Marsie. Z drugiej wszelako strony nie tracimy nadziei. Bo czyż nie posiadamy już niezmiernie ciekawej mapy geograficznej tej planety?

Niemal wczoraj, gdyż dopiero w 1877 r., odkryliśmy istnienie dwóch małych księżyców, nie większych od Paryża, które obracają się niezwykle szybko dokoła Marsa.

Jakkolwiek wszelako wiemy mało jeszcze o Marsie, to jednak, czy można wobec widoku, rozpościerającego się przed nami, gdy patrzymy przez teleskop na tę planetę, wobec tych wybrzeży i mórz, wobec płaszczyn śnieżnych na biegunach i kanałów zagadkowych, wobec przepięknych świtów i zachodów na niebiosach, niemal zawsze spokojnych i czystych wobec krain, z których jedne okrywa jeszcze zimna powłoka



CZTERY ŚWIATY W GŁĘBIACH PRZESTRZENI.

Jak przedstawiałaby się oczom mieszkańca Jowisza olbrzymia tarcza Słońca, nieskończenie mniejsza Ziemi z małym jej satelitą, Księżycem, oraz Mars, oddalony od Ziemi o 50 milionów mil ang.

śnieżna, gdy drugie zrzucają powłokę tę już z siebie pod wpływem gorących promieni słońca pory letniej, dwa razy dłuższej od lata naszego, czy można, powtarzamy, wobec tego wszystkiego nie pomyśleć, że istnieć tam muszą również istoty myślące, zdolne, jak i my, do napawania się cudami przyrody?

Śród marzeń wieczornych istoty te, być może, zwracają także oczy ku niebiosom i rzucają spojrzenia pełne zachwyty na gwiazdę wspaniałą, najjaśniejszą ze wszystkich na ich firmamencie, gwiazdę, tak błyszczącą i piękną, jak piękną i błyszczącą jest Wenus dla nas, mieszkańców Ziemi.

Ta gwiazda—to Ziemia.

Być także może, iż poeci marsyańscy opiewają tę gwiazdę przepyszną, jako bóstwo dobroczynne, jako miejsce pobytu niewysłowienie rozkoszne. Astronomowie zaś marsyańcy posiadają sprzymierzeńca w czystości atmosfery, okalającej ich planetę, bardzo prawdopodobnie wiedzą więcej o nas, niż my o nich. Znana im jest bez wątpienia każda zmiana atmosferyczna na Ziemi, oraz tajemnica białych pustyń, okrywających bieguny nasze.

A cóż powiedzieć o życiu na Marsie?

Życie! Jest ono rozproszone wszędzie w zarodkach niezliczonych i pod postaciami niezliczonymi. Panowanie jego jest powszechne. Prawidłom jego podlega każda istota żyjąca, zaczawszy od człowieka, a skończywszy na niezmiernie małym mikroorganizmie. Gdy badamy to życie, uwieczniające się nawet wśród pasorzytów, według upodobania własnego, gdy widzimy, że niema najmniejszego zakątka globu naszego, czy to w stanie stałym, czy też płynnym lub gazowym, któryby nie posiadał mieszkańców odpowiednich warunkom, tam panującym, to na jakiejże podstawie śmielibyśmy zaprzeczać istnienia życia na Marsie? Dlaczego miałyby ta Ziemia, tak podobna do naszej, dlaczego miałyby te krainy tak piękne być pustyniami martwymi?

Dlaczego jednak, myśląc o istotach żywych na innych planetach, przywdziewamy je tak uporczywie w kształty ludzkie? Czyż to tak trudno wyobrazić sobie coś o wiele doskonalszego?

Co mogłyby, na przykład, istoty podobne do nas robić na takim Jowiszu? Aby osądzić tę kwestję, rzućmy okiem na tego olbrzyma naszego systemu słonecznego, leżącego daleko poza Marsem, toczy się bowiem po przestworzach w odległości mniej więcej 472 milionów mil angielskich od Ziemi.

Podczas podróży do Jowisza zdziwiłoby nas bez wątpienia niemało starcie od czasu do czasu z małymi ciałami planetarnymi, tworzącymi prawdziwy archipelag pomiędzy Jowiszem a Marsem. Największy z tych odłamów niebieskich posiada nie więcej, jak paręset mil objętości, wiele zaś jest znacznie mniejszych. Przekroczmy jednak szybko to mrowie światów lilipucich i zatrzymajmy się dopiero przy samym Jowiszu.

Odrazu uderza nas, że istotny wygląd tej planety odpowiada zupełnie wspaniałości połysku jego pozornego. Piękny ten i potężny glob, o średnicy, przewyższającej 11 razy średnicę Ziemi, posiadający przytem objętość o 1,200 razy, masą zaś przenoszący 310 razy masę Ziemi, dokonywa obrotu dokoła osi w ciągu niezmiernie krótkiego czasu 9 godzin i 50 minut przy równiku. Ale ogromna ta szybkość nie jest jednakowa pod wszystkimi stopniami szerokości geograficznej Jowisza, lecz zmniejsza się stopniowo, w miarę jak podchodzimy do biegunów, co dowodzi, że powierzchnia jego nie ustaliła się jeszcze zupełnie. Słońce świeci tu zaledwie przez 5 godzin dziennie, noce zaś są jeszcze krótsze, dzięki świtom i zmrokom.

Ponieważ Jowisz potrzebuje 12 lat ziemskich dla dokonania podróży dokoła słońca, rok przeto jowiszowy liczy ni mniej, ni więcej, jak 10,455 dni! Znajdujemy zatem tutaj stosunki, różniące się radykalnie od stosunków, panujących na Marsie lub Ziemi.

Na olbrzymim tym świecie nie rozróżniamy wcale ani mórz, ani też lądów, okrywa go bowiem gęsta powłoka atmosferyczna. Co leży pod temi spiętrzonymi masami chmur? Czy ocean płynny? Czy też jądro gorące?

(DN)

S. B.

*) Mila angielska = 1.61 kilometra.

Szara godziną...

Z CYKLU: „WIEŚ”.

Szara godzina... Szary zmierzch...
Kominak blaskiem strzela...
Budzą się ze snu dawne dni,
Dni szczęścia i wesela...

Szare godziny wiejskich dworów! ileż to w was
zrodziło się marzeń, ile zadumy, wspomnień rozsnuło
w wilgotnym jesiennym półmroku! od powiadań starej
niani o zaklętej królowie do wielkich wydarzeń dzie-
jowych!

Ile!

Do niektórych nie sięgać już pamięcią, tak żal...
tak boli, choć żyją jeczcz... A innych wprost nie
zliczyć!

Bywały w tobie, szara godzino wsi polskiej, i smu-
tki wielkie, i nadzieje krzepiące, jawiał się uśmiech po-
godny, i westchnienie serdeczne leciało...

Schodziło w tobie pod dachy naszych Wólek
i Dąbrówek i blizkie, i dalekie, kochane, swoje i obce...



Zaturkotało i zajechał powóz.

Bywały ciche troski domowe i wypadki rozgłośnie, sur-
mą bojową brzmiące.

Bo do polityki szara godzina... najlepsza!

Bywał Garibaldi, Magenta, Solferino... Bywał
Mac-Mahon, Bourbaki... Bywał częstym gościem Bi-
smarck... *Ausrotten!* cła zbożowe...

Snuły się cienie Salisburych i Gladstonów...

Brzmiąły gorące słowa z mównic parlamentarnych,
i działa grzmiąły...

Francusko-pruska... turecka... japońska... aż do
ostatnich czasów, do dni naszych...

A w „czeladniej“ przybyły z poczty postaniec opo-
wiał kobietom, co słycać w świecie...

A opowiadał pięknie...

Szara godzina. Robota nie robota. Już tylko ten
i ów kuli obrządku gadziny się kręci.

Wreszcie i to skończone. Obroki wydane, inwen-
taryz napojony.



Politycy wiejscy

F. M. Wygrzywalski

Idą rządcą z karbowym po dyspozycje do dworu.
Błyska na kominku łuczywo. Kronika dnia. Psze-
nica dobrze sypie... Siwa zakulała. Żyto powschodziło
równno...

Urzędowy raport skończony. Zjawiają się wieści
i pogłoski. Stopniowo pogawędka przechodzi w roz-
mowę *de publicis*... Napoleon... Bismarck... Kuroki...
Bülów... Duma...

Jak kiedy.

A na dworze wiatr przez nagie konary podzwania,
i miękka szarość mgieł idzie światem.

Hej! żeby tak który z sąsiadów przyjechał, zło-
żyłaby się może partyjka!

Szara godzina. 1908.

Zaturkotało. Sama pani wybiegła przed ganek...

— Konie z Górki... Pan Józe!

— Kochanego sąsiada! Co tam słycać?

— Zdaje się, że będzie wojna... Czytałeś są-
siad? Serbia, panie tego... nie na żarty...

Niechybnie! Czytałem... właśnie wczoraj... już
mobilizacja gotowa... Jedna dywizja stanie nad Dryną,
druga wtargnie do Bośni... Trzecia... Czytałem. Jed-
nen z oficerów opowiedział cały plan przyszłej serbskiej
kampanii korespondentowi z Warszawy... Czytałem...
Ale siadajże sąsiad!... Więc powiadasz?... A cóż Niem-
cy na to?

— Niemcy, jak Niemcy...

— No! a Włochy? Zawsze to Czarnogórze... teść...

— W polityce węzły krwi nie obowiązują...

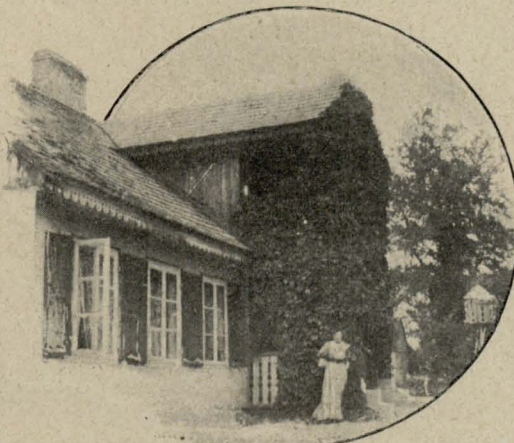
— Hm! Czy aby ten oficer prawdę mówił? Bo
to takie rzeczy trzymają się pod kluczem. Plany wo-
jenne... O tem się tak prosto z mostu nie opowiada...

— Zapewne. Ale dziennikarz warszawski to
wszystko wywęcha... Wywiad... i basta!

Zaturkotało...

— Hej! Janie! Zobaczno, kto przyjechał. Może
proboszcz? Dałby Bóg! Ucielibyśmy sobie wincika
we trzech...

Chwila oczekiwania. Z przedpokoju słycać stłu-
mione szepty.



Pani wybiegła na ganek.

— Panicz przyjechał.

Wbiega chłopiec w bluzce uczniowskiej.

— Tatusiu!

— Co się stało? Przyjechałeś... dlaczego!

— Tatusiu!

Znowu szept cichy... urywany...

I łyzy w starych i młodych oczach.

— Ha! to będziemy się w domu uczyli, mój
biedaku!

Szara godzina...

K. LASKOWSKI.

Z LITERATURY.

OSTATNI WYKŁAD LEONARDA DA VINCI *).

Z myśli i twierdzeń, rozproszonych w jego rękopisach, ułożył
i związał J. Peladan, przetłómaczył Miriam.

W społeczny zamęt pojęć, w nasze „naturalizmy“,
„realizmy“ i obrazkowe produkcje z dnia na dzień,
padły, jak czyszczący ogień niebieski, wielkie słowa
o sztuce włoskiego półboga, Leonarda da Vinci, słowa,
wypowiedziane już temu lat blisko pół tysiąca.

*) Nakładem redakcji *Chimery*, 1907, Warszawa,
Widok 13.



Znów Bismarck... czy nie mówiłem? Rys. M. Andriollego
z r. 1868.

A stało się to w ten sposób, że myśli mistrza,
rozproszone w różnych wydaniach rękopisów jego,
ułożył J. Peladan, jeden z najsubtelniejszych umysłów
współczesnych, najczystszy przedstawiciel artystycznego
ducha Francji, krytyk i poeta, samotnie chodzący
w gwarze targów dzisiejszego świata, jakby jednolity
wykład, miany przez Leonarda w założonej przez sie-
bie, pierwszej, jaka w Italii boskiej istniała, Akademii.

Nam zaś, Polakom, uprzystępnit te klejnoty du-
cha któżby jak nie Miriam, artysta, którego pióro nie
pokalało się nigdy czemś niedostojnym twórczości, poe-
ta, który zadał sobie wielki trud budzenia w Polsce
miłości do sztuki.

Pod ową więc tak niezachwianą opieką dwóch
nieskazitelnych witeziów Myśli i Piękna, w tym mi-
strzowskim wykładzie i mistrzowskim przekładzie uka-
zało się nam widmo duszy nieśmiertelnego twórcy Mon-
ny Lizy.

Z książki tej, niewielkiej rozmiarami, jakże wiel-
ka pociecha spływa na serca prawdziwych artystów!
Widzą oni, że dzisiejszy handlarzko-arlekinowy sen mi-
nie kiedyś nareszcie, jak mara okropna i złowroga, że
choćby po ich zgonie dzieła, przez nich stworzone, „dalej
ciągnąć będą myśl swoją“, że sztuka i zaklęty w niej
duch wieczne są, że nieprzystępne jej jady i śliny
małych dusz, co ciskają na nią pogardę kramarskich
serduszek, i tinglowo-cyniczne uśmiechy ust, zbezczeszc-
zonych codziennym kłamstwem i wielbieniem podłości,
że wreszcie prawda, prawda, spowita w Piękno, ich bę-
dzie udziałem zawsze, wbrew ubożuchnym gustom este-
tycznym XX stulecia, które zapomniało o wzniosłości,
lubując się w anegdótkach „ze świata“.

Myśli Leonarda powinny przełom uczynić w na-
szych pojęciach o sztuce. Próżnoby tu wystawiać ich
znaczenie. Na to trzebaby *działa*. Ot lepiej przyto-
czyć parę wyjątków:

„Bez sztuki człowiek nie zna piękna, bo sztuka
jedna je wyraża“.

„Kto wierzy, iż celem sztuki jest odtwarzanie na-
tury, nie namaluje nigdy nic trwałego; bo natura żyje.
Ale nie ma ona rozumu. W dziele myśl winna wy-
nagrodzić i zastąpić życie, inaczej ujrzemy tylko byt
cielesny, bez duszy. Dostojniejsza to będzie zawsze po-
myśleć postać niebiańską, aniżeli skopiować ziemską,
namalować anioła, aniżeli człowieka“.

„Czem gardzimy w rzeczywistości, gardzimy tem
również w sztuce“.

„Dzieło składa się, jak człowiek, z ciała, duszy
i ducha. Uczniowie, zaczynajcie wedle wymagań nauki,
od ciała, które jest rzeczą znaną, aby potem dotrzeć do
duszy, która stanowi nieznaną. Mistrz, przeciwnie, za-
cznie od idei, a potem nada jej wyraz i kształt właści-
wy. Nie naśladowajcie malarzy północnych, którzy, nie
wznosząc się do dziedziny ducha, celują w oddawaniu
niektórych uczuć, jak pokory i prawdziwej zbożności, ale
kopiują przytem niewolniczo pierwszą lepszą osobę spo-
tkaną i brzydko odziewają piękne dusze.“

„Malarz odnosi wielkie zwycięstwo, okazując
przez samo piękno, że jakaś postać nie należy do ziemi
i niebawem powróci do nieba, skąd zstąpiła“.

„Model, pożyteczny i niebezpieczny zarazem, za-
ciera nam w pamięci własną naszą koncepcję“.

„Sztuka chce podobać się duchowi za pośrednic-
twem zmysłów“.

„Aby sztuka mogła zadowolić ducha, dzieło musi ujawnić jednocześnie piękno rodzaju i piękno indywidualne, musi zjednoczyć w sobie doskonale ukształtowaną istotę z różnorodnością, zależną od indywidualizmu.

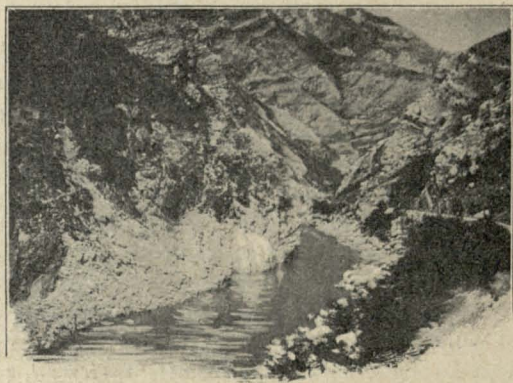
„Podtrzymujemy życie fizyczne pokarmami, życie duchowe znajduje karmę swoją w sztuce, bo ta utwierdza człowieka w jego poczuciu nieśmiertelności“.

„Gdy namalujecie kobietę, niechaj widzi zaprawdę być kochanym przez nią, żadnej jednak nie żyjąc nadziei!“

„Czerpmy formy z przyrody, a dusze z duszy naszej. Nie inaczej postępowali starożytni. Wyrazili siebie samych; wyrażmy siebie i my“.

Obyż ten miniony głos z za grobu był egzorcyzmem skutecznym dla sztuki i smaku dni dzisiejszych!“

J. KL.



Droga z Serajewa do Mostaru.

W zaanektowanej Bośni i Hercegowinie.

Cóż Bośnia i Hercegowina? Chciały, czy też nie chciały być uszczęśliwionymi przez Austro-Węgry?

Nie szukajmy odpowiedzi w prasie słowiańskiej, którą podejrzyczyć można o stronność w tym wypadku,

gler. Ludność niezadowolona — to fakt, i zgłasza pod adresem Austriaków cały szereg zarzutów. Oto, do czego sprowadzają się zasadnicze z nich według opowiadania autora niemieckiego.

Przedewszystkiem ludność Bośni i Hercegowiny wyrzeka na Austriaków za to, że przy obsadzaniu urzędów mianują zwykle obce jednostki, motywując to tem, iż mieszkańcy miejscowi za mało są jeszcze kulturalni, by stanowić o sobie. Niedawno dopiero zrozumieli znaczenie wykształcenia szkolnego i zaczęli wstępować do wyższych zakładów naukowych. Rozumowanie to jednak nie trafia



Serajewo. Przekupień owoców.

do przekonania ludności, która, może i nie bez racji, utrzymuje, iż, aby dbać o prawidłowy rozwój gospodarki, handlu, szkół, dróg komunikacji i t. d., nie trzeba obowiązkowo posiadać dyplomu z ukończenia uniwersytetu lub politechniki.

Razem z tem pomimowoli budzi się pytanie, dlaczego to mieszkańcy Bośni i Hercegowiny tak boją się szkół—rzecz naturalna, austriackich? Czy czasem nie są

gownicy wspomina o tureckim panowaniu, jak o 1aju ziemskim, w każdym razie pod względem gospodarki rolnej. Jeżeli wziąć pod uwagę, iż 88 proc. całej ludności należy do włościan, to łatwo zrozumieć, dlaczego Austria nie zyskała w Bośni i Hercegowinie bynajmniej sympatii.

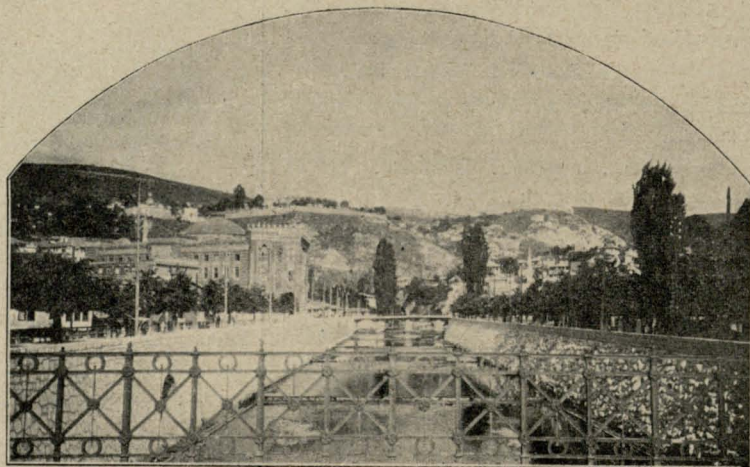
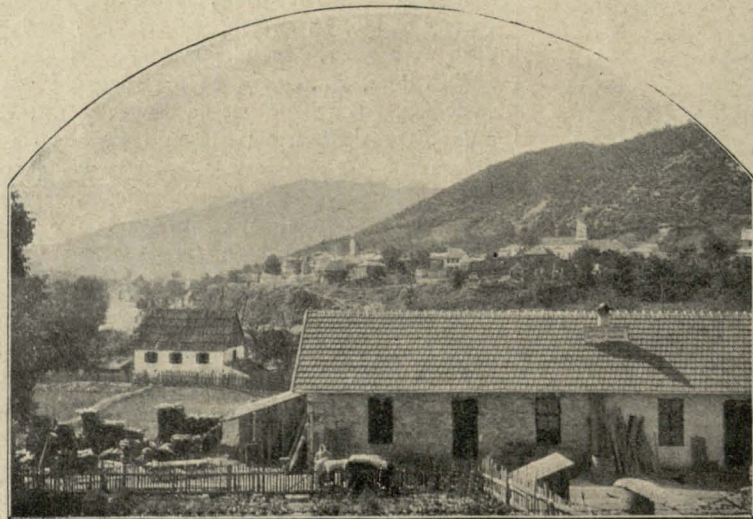


Dzielnica mahometańska.

Niezadowolenie to spotęgowało się jeszcze bardziej od roku 1881, kiedy została zaprowadzona ogólna powinność wojskowa. Często też wydarzały się manifestacje ze strony rezerwistów i rekrutów. Niedawno jeszcze kilkuset zbuntowanych rezerwistów trzeba było pod silnym konwojem odstawić do Serajewa.

Aneksja, która nastąpiła ostatnimi czasy, przełała czarę goryczy. A dla nikogo nie jest tajemnicą, jak opowiada niemiecki autor, iż w Bośni i Hercegowinie oddawna przygotowane jest powstanie; w górskich wąwozach pochowana jest broń, a nawet armaty.

Jeżeli więc Bośnia i Hercegowina po dokonanych przez Austro-Węgry przewrocie państwowym zachowają



Widoki panoramiczne Serajewa. Fot. specjalnie dla „Tygodnika“ Józef Pf.

lecz posłuchajmy, co mówi Niemiec, który niedawno objechał Bošnię i Hercegowinę i opisał swoje wrażenia we *Frankfurter Zeitung*. Trudno posądzać go o przyjaźń, a jednak uwagi jego źle mówią na korzyść Austro-Wę-



Na drodze z Serajewa do Mostaru.

winni temu Austriacy i ten ustrój, jaki został zaprowadzony w miejscowych szkołach?

Następny zarzut dotyczy ekonomicznej strony życia. Wprowadzając swoją kulturę, Austriacy z butą prawdziwych „kulturträgerów“ zanadto raptownie i zasadniczo zmienili cały patryarchalny ustrój warunków miejscowych. Za czasów tureckich chłop oddawał dziesiątą część swoich zbiorów, przyczem ustanowione były cztery terminy, w które składało się daninę w naturze. Austriackie władze od razu przekształciły naturalny podatek na pieniężny i ustaliły jeden tylko termin spłaty. Przytem podatek był zaprowadzony nie od zbiorów, lecz od ziemi, t. j. nie wchodząc w to, czy był urodzaj, czy nie, i czy chłop sam miał cokolwiek z własnej ziemi, czy też cierpiał głód. Jeżeli do podatku z ziemi dołączymy jeszcze podatek cerkiewny, szkolny, dymowy, od ilości bydła i t. d., to w sumie okaże się, iż chłop często 95 proc. całego swojego dochodu oddaje państwu, a bywa i tak, iż nic mu nie pozostawia własnej potrzeby.

To też nic dziwnego, iż ludność Bośni i Herce-

przez pewien czas spokój i nie urządzi powstania, to tylko dlatego, że brak jeszcze odpowiedniego momentu i sygnału.

Sygnal—skąd?

Na półwyspie Bałkańskim tyle materiału palnego, że dosyć iskry, aby rozpoczął się wielki, trudny do ugaszenia pożar... K.



Wszystkim rocznym prenumeratorom „Tygodnika Ilustrowanego“ po opłaceniu przedpłaty za kwartał IV r. b. rozesłane będzie premium za rok bieżący.

Jubileusz Wacława Anczyca.

Niedawno, w 25 rocznicę śmierci znanego pisarza naszego, Władysława Ludwika Anczyca, pomieściliśmy w piśmie naszym obszerniejszy artykuł, omawiający działalność jego na niwie literatury polskiej, teraz zaś upływa 25 lat pracy zawodowej syna jego, p. Wacława Anczyca, kierownika i współwłaściciela znanej firmy drukarskiej W. L. Anczyca i Spółki w Krakowie.

Jeśli zasługi ojca w piśmiennictwie naszym są znaczne, praca syna ma równie doniosłe, niezaprzeczenie pierwszorzędne znaczenie na polu drukarstwa polskiego.

Urodzony w r. 1866 w Warszawie, wychowanek gimnazjum św. Anny w Krakowie, po odbyciu studiów uniwersyteckich na Wszechnicy Jagiellońskiej i w Lipsku, w młodym wieku objął w r. 1883 kierownictwo zakładu drukarskiego.

Pojmując poważnie i sumiennie przyjęty na siebie obowiązek, odbył gruntowne studia fachowe w Niemczech, by mózgiem z należytym zapasem wiedzy i potrzebną znajomością tej gałęzi przemysłu przystąpić do pracy.

Mimo wszelkich trudności, jakie przemysł nasz wogóle, a sztuka drukarska w szczególności, spotyka na drodze swego rozwoju, udało mu się w ciągu stosunkowo niedługiego czasu nie tylko postawić swój zakład na pierwszorzędnym miejscu, ale i wpłynąć nadzwyczaj dodatnio na ogólny rozwój drukarstwa w Polsce.



Wacław Anczyca.

Rozumiejąc dobrze, że porządek i punktualność są głównymi podstawami każdego zakładu, zaprowadził przedewszystkiem u siebie pedantyczny prawie ład, czystość i podział pracy tak doskonały, że trudno podobny znaleźć w jakimkolwiek zakładzie w kraju. Każdego też, kto miał sposobność zwiedzać ten zakład, mile uderzają te szczegóły, które, przy stosunkowo szczupłych środkach, pozwalają na bardzo obfitą i pierwszorzędną pod względem estetycznym produkcję.

Przy doborowych urządzeniach technicznych i umiejętnym rozłożeniu pracy jest w możności puszcząć w obieg księgarski dzieła, wykonane tak, że mogą śmiało stanąć obok najlepszych wydawnictw obcych.

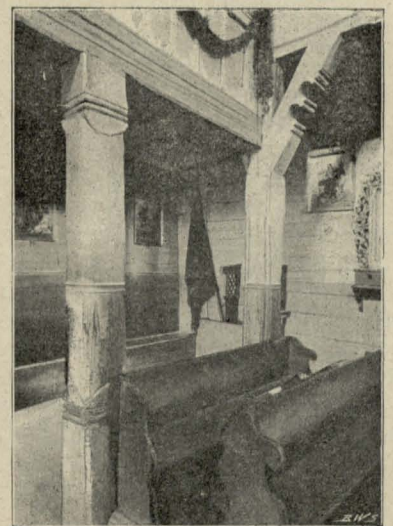
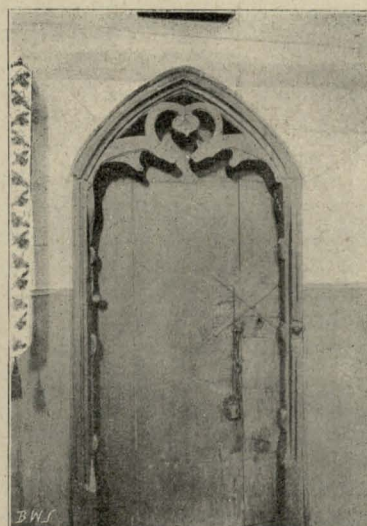
Dość tu wspomnieć wydawnictwa firmy Gebethner i Wolff: albumy Siemiradzkiego, Kossaka, Quo Vadis, Notatki myśliwskie J. hr. Potockiego, a z nowych wydawnictw lwowskie: „Sztuka Polska“, olbrzymi zbiór rycin trójbarwnych, w których drukarnia ta celuje, oraz „Naukę i sztukę“, bogato ilustrowane tomiki, uprzystępniające nam sztukę i literaturę. Nawet każda, najzwyczajniej wydana książka wyróżnia się swym wyglądem wśród innych podobnych wydawnictw na półkach księgarskich.

Wpływ pracy jubilate nad rozwojem estetyki druku widać i na wydawnictwach innych zakładów, które starają się już obecnie zaopatrywać również druki swe w estetyczne cechy, jakie pierwsza wprowadza drukarnia Anczyca.

Poważne zasługi położył też jubilat około rozwoju i zorganizowania Gremium i Związku właścicieli drukarni w Krakowie i w Galicyi zachodniej, pierwszy zwrócił uwagę na stosunki higieniczne w drukarniach i zaprowadził w tym kierunku u siebie urządzenia pierwszorzędne. Pierwszy też zaprowadził coroczne urlopy dla swych pracujących, dając im przez to możliwość wytchnienia po ciężkiej pracy zawodowej.

Wogóle w stosunku z pracującymi jubilat był i jest tak uprzejmy i prawdziwie sercem się tylko kleruje, że dziś niema w zakładzie ani jednego pracownika, któryby w nim nie widział nie tylko przełożonego, ale i przyjaciela swego.

R.



Kościół w Brzeźnicy nowej, drzwi do zakrystyi i wnętrze kościoła w stronę chóru. Fotografie Tow. opieki nad zabytkami przeszłości.

Zabytki budownictwa polskiego.

Przy zamieszczonych obok widokach kościołów w Brzeźnicy i Białyninie, których zniszczenie smutnym echem serdecznego protestu ozwało się na łamach pism naszych, nie od rzeczy będzie kilka słów krótkiego objaśnienia.

Kościół w Brzeźnicy, pamiątka, związana z imieniem Jana Długosza, jako że w kościele tym chrzest ojca naszych historyków się odbywał, był pomimo swej prostoty wyjątkowo pięknym zabytkiem budownictwa ceglano-gotyckiego z doby późnego gotyku.

Zburzoną obecnie część dawnej całości stanowiło prezbiterium i przysadzista wieża.



Kościół w Białyninie.

Prezbiterium, zamknięte trzema łokami ośmiokąta, z silnie rozwiniętymi szarpami i charakterystycznym stromym dachem, którego większość połaci pokryta była dachówką rzymską, odnieść wypada na koniec XIV lub początek XV wieku. (Erekcja kościoła nieznaną). Wieże wzniesiono na murach pierwotnej zakrystyi w wieku XVI. Do tego też czasu odnoszą się zapewne zmiany niektóre, widoczne w oknach i gzymsie prezbiterium.

Kościół starożytnym zwyczajem był orientowany, t. j. zwrócony wielkim ołtarzem na Wschód, absydą ku rynkowi, skąd główny roztacza się widok. Podnieść zatem trzeba zmysł estetyczny nieznanego artysty z XVI wieku, który właśnie od tej strony umieścił wieżę, tworząc nadzwyczaj malowniczą sylwetę.

Całość, doskonale w murach zachowana, wymagała tylko pieczołowitej ręki restauratora.

O modrzewiowym kościółku białynińskim, pochodzącym z początku XVI wieku, już w dawnych wizytach generalnych są wzmianki, że był zbudowany *anti-quo modo*, t. j. po staroświecku.

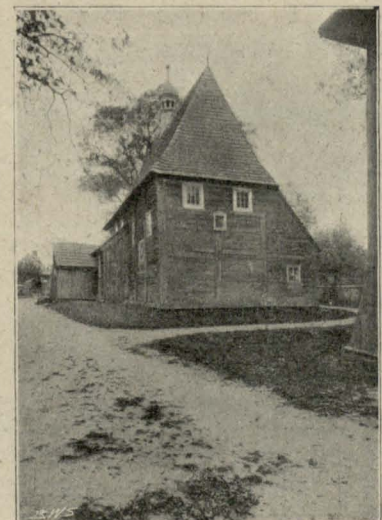
Rzeczywiście mocą tradycji, która w formach drewnianego budownictwa pomimo prądów nowych stylów trwała u nas przez wieki, kościółek ten nosił na sobie piętno odległej starożytności.

Późniejszymi przybudówkami i oszalowaniem zeszepeczonej, w pierwotnym swym stanie składał się z kwadratowej niewielkiej nawy i nieco wydłużonego, prostą ścianą zakończonego prezbiterium z maleńką zakrystyą od północy.

Struktura pełna prymitywnej prostoty, charakte-

rystyczne, łamane dachy z pazdurami, toporem rzezane ornamentacyjne szczegóły na słupach i ramionach wnętrza, przedewszystkiem zaś dębowe odrzwia o bardzo ciekawym motywie zdobniczym (końskie łebki), pociągały urokiem niezwykłego piękna.

Był to wyjątkowo cenny zabytek, jako typ, tak rzadki już u nas, niestety, prawdziwie swojski. W.



Kościół w Białyninie od strony szczytu.

Ludomir Różycki.

Nazwisko znane już dobrze zagranicą, głośnie w Polsce, najgłośniejsze zaś w tej chwili we Lwowie. Było to w maju r. b., gdy młody, dwudziesto- pięcioletni muzyk stanął z plikiem nut u progu konserwatorium lwowskiego. Zabieglivy i rozumny kierownik tej instytucji, sam kompozytor i artysta o czystej duszy, otworzył Sołtys przed gościem ramiona, serce i... estradę sali koncertowej. W ciągu niespełna dwu tygodni siedmziesięciogłowa orkiestra konserwatorium wykonała *arte* specjalny „koncert Różyckiego”, zaczem muzyczny gród nadpełniański, nie skory, jak wiadomo, do entuzjasmów, powitał huraganem oklasków przedstawiciela najnowszych prądów w muzyce polskiej.

Nie skończyło się wszakże na platonicznych tylko wybuchach zapału. Dyrektor teatru, p. Heller, zaproponował Różyckiemu miejsce u pulpitu kapelmistrzowskiego (partycye swojskie i wagnerowskie), przyjął do wykonania jego „Bolesława Śmiałego”, Sołtys zaś uczynił na radzie konserwatorium wnioskiem o zamianowanie go profesorem tej



Ludomir Różycki.

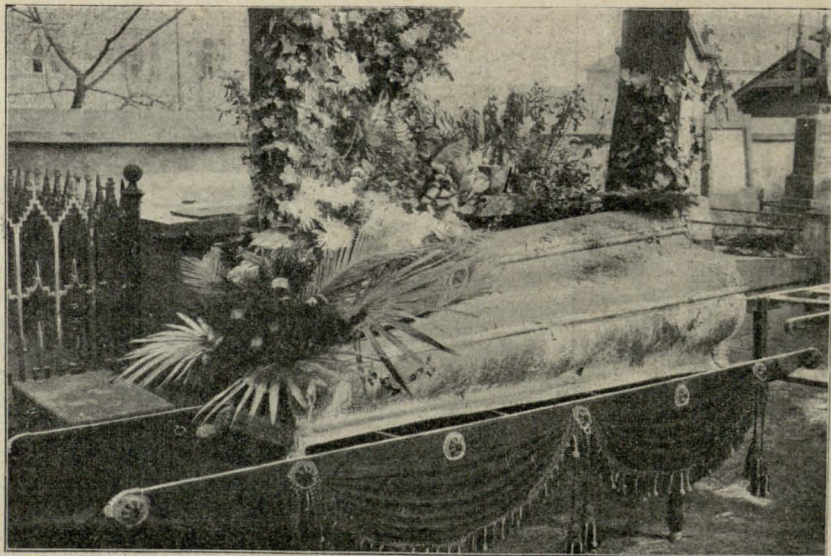
coraz pięknie rozwijającej się uczelni. Jedno i drugie stało się właśnie teraz, Lwów przykuł trwale do siebie zadziwiającego Warszawianina.

Różycki bowiem, w którego żyłach płynie po dziaćle najszlachetniejsza krew żołnierska, stąd może jego stanowczość i temperament, jest dzieckiem Warszawy. Zanim dojrzał fizycznie, był skończonym w każdym calu muzykiem. Instytut warszawski dał mu złoty medal, Strauss, twórca „Salomy”, charakterystyczną radę:

— Mój przyjacielu! Zapytujesz mnie, u kogo masz studiować? Ja ci powiem otwarcie: to, coś sam posiadał, wystarczy... Więc ucz się chyba dalej u Bacha, Beethovena i Wagnera!

Rozmowa ta obiegła prasę muzyczną niemiecką. Różycki też zagłębił się w „majstrach”, a równocześnie uczęszczał na kursa Humperdincka i Nikischa. Jeden z pięciu „młodej Polski” w muzyce, „grany był” w Berlinie i Lipsku.

Reszty niech dopowiedzą „specjaliści”. Ci, lwowscy, z najtrudniejszym i bardzo wybrednym Niwiadomskim na czele, sprezentowali już przed Różyckim swoje pióra. Publiczność Lwowa w ubiegłym tygodniu, z racyi wykonania „Stanczyka” przez orkiestrę wiedeńską *Tonkünstlerów* pod misterną batutą Nedbala, przyjęła dzieło to i jego autora z południową furją! Różycki, ukryty w krzesłach parterowych, w niemożliwego kroju popielatym pidżaku, kłaniał się z zakłopotaniem, a osobliwa twarz jego biała i martwa była, jak marmur. *tc.*



Trumna Stanisława Moniuszki na Powązkach.

Z chwili bieżącej.

Szkoła muzeum i przemysłu artystycznego dla kobiet. — Nowe pamiątki na cmentarzach. — Bojkot towarów niemieckich.

Do upośledzonej bardzo dziedziny rzemiosł i przemysłu artystycznego przybyła nam ostatnimi czasy cenna uczelnia „Szkoła rzemiosł i przemysłu artystycznego dla kobiet”, otworzona przed miesiącem w Warszawie, pod naczelnym kierownictwem wykwalifikowanego artysty-malarza, p. Zygmunta Badowskiego.

— Nie krępować zdolności indywidualnych, nie wprowadzać szablonu, nie zabijać tego, co stanowi w kobietach „kobiecość” — oto moje wytyczne hasła, które będę się starał wprowadzić w życie wśród swoich uczennic — tak informował mnie p. Zygmunt Badowski, oprowadzając po sali malarskiej, gdzie przy stalugach pracowało kilka panien.

I rzeczywiście przekonałem się, że słowa kierownika szkoły stały się już czynem, gdyż na jednych pracach widać było rozmach i energię męską, a na innych drobiazgowość i subtelność kobiecą, a choć znać było wszędzie kierowniczą dłoń nauczyciela, lecz bez forsowania szablonu, z zupełnym uszanowaniem poszczególnych indywidualności.

— Rysunki i malarstwo oto ogień czyszcący, przez który przejść musi każda z uczennic — objaśniał mnie dalej p. Badowski — bo trudno sobie w jakimkolwiek dziale przemysłu artystycznego wyobrazić umiejętną pracowniczkę bez należytego poczucia barw i kształtów.

— Jakże się czują panie w szkole? — zapytałem jedną z uczennic.

— Bardzo dobrze, więc ciągle nas przybywa. Każda z nas rozumie, iż naprawdę korzysta.

Opuściłem „Szkołę rzemiosł i przemysłu artystycznego dla kobiet” z tem przeświadczeniem, iż przybyła nam bardzo pożądana i pożyteczna uczelnia, nie pewny jednak, czy nowa jaka wichura i jej nie obali.

Na Powązkach, które dorocznym zwyczajem tłumnie były odwiedzane przez Warszawiaków, przybyło nam kilka nowych drogiej pamiątek.

Pomiędzy niemi rzuca się w oczy przede wszystkim piękny grobowiec Moniuszki, wzniesiony staraniem Towarzystwa muzycznego, oraz Sekcji imienia wielkiego pieśniarza narodowego. Dzięki dobrej woli i zabiegom potomnych spełniono już obowiązek względem tego, którego tony rozbrzmiewają i na poddaszach, i na piętrach, a cudotwórcza pieśń wciąż opromienia szare dni życia Polski, bo, choć już 36 lat upłynęło od zgonu Moniuszki, on między nami, jak żywy...

Ostatnimi czasy również stanął piękny pomnik nad mogiłą Adama Minchejmera, twórcy „Mazepy” oraz śpiewaka wielu pięknych pieśni polskich. Melodyjne takty niezwykle popularnej jego piosenki, „Hej, flisacza dziatwo!” wyryte są na kamiennej kolumnie, na której stoi misternie wykonane popiersie zmarłego kompozytora polskiego.

Oba groby, i Moniuszki, i Minchejmera, tonęły wśród zieleni wieńców i kwiatów, jakie hojnie rzucane były przez wdzięczną dla swoich pieśniarzy potomność.

Do żałobnych pamiątek ostatnich dni przybyła także tablica w kościele św. Piotra i Pawła. Na białej marmurowej płycie obok podobizny zmarłej czytamy: „ś. p. Weronika z Puchalskich Elszyk, b. przełożona wyższej pensyi żeńskiej, ur. 8/XI 1835 r., zasnęła w Bogu 20/X 1907 roku; jako dzielnej i przezacnej wychowawczyni polskich kobiet, poświęcając tę pamiątkę dożgonnie wdzięczność uczennice”.

Daleko poza granicami naszej ziemi ojczyznej wznosi się również od niedawna pięknie wykonany pomnik ś. p. Damazego Trzczińskiego, powstańca z roku 63. Zdob

on wolną krainę szwajcarską, przypominając całe szeregi tych, co po roku nieszczęść i klęsk zmuszeni byli pozostać poza Polską i na obczyźnie dokonać żywota...

Pamiętajmy i o żywych — o tych, co są, i o tych, co będą. Pod tym względem wiele



Pomnik Damazego Trzczińskiego.

zrzucić nam można. Oto w ostatnich czasach nastąpiło pewne zubożenie w kierunku agitacji za bojkotem niemieckim i towarów niemieckich.

— Et! — wraz ze specyficznym machnięciem ręką zaznacza się coraz częściej nawet wśród kupców i przedsiębiorców.

A nie wolno nam tego robić, bo czas już chyba, aby przysłowiowa gnuśność myśli i czynu społeczeństwa polskiego stała się tylko wspomnieniem z przeszłości.

Przytem bojkot towarów niemieckich jest pojmovany często dosyć dziwnie. Wysilają się niektóre korporacje tutejsze na to, żeby swoje pieniądze zamiast Niemcomi oddać innym, ale nie widać starań w celu rozwoju własnego przemysłu i zastąpienia towarów niemieckich własnymi wyrobami. Jakaś dziwna cechuje nas apatya i lenistwo.

R. K.

W sprawie „Skiza” Zapolskiej.

Szanowny Panie Redaktorze!

Na pełen gorczy list pani Zapolskiej, zamieszczony w nrze 43 *Tygodnika Ilustrowanego*, pozwól nam odpowiedzieć, że szanowna autorka „Skiza” wiedzieć nie może, jaki był ton sztuki w naszym wykonaniu, ponieważ na przedstawieniu nie była.

Oskarża więc pani Zapolska artystów i reżyserę Rozmaitości gołosłownie, nie opierając się nawet na sprawozdaniach miejscowej prasy, gdyż ta przeważnie ganiła sztukę, chwalać usiłowania pracowników pierwszej sceny polskiej.

Racz przyjąć, szanowny redaktorze, wyrazy głębokiego poważania

Tekla Trapszo-Krywultowa
Natalia Siennicka Jan Janusz
Edward Wolski Józef Śliwicki
Kazimierz Kamiński

Z żałobnej karty.

W dniu 24 października na cmentarzu powązkowskim pochowano ś. p. Aleksandra Jabłońskiego, ostatniego z żyjących członków dawnych warszawskich departamentów senatu.

Zmarły dożył do bardzo sędziwego wieku, gdyż miał lat 91. Urodzony w r. 1818 w Chobrznach, w ziemi



Aleksander Jabłoński.

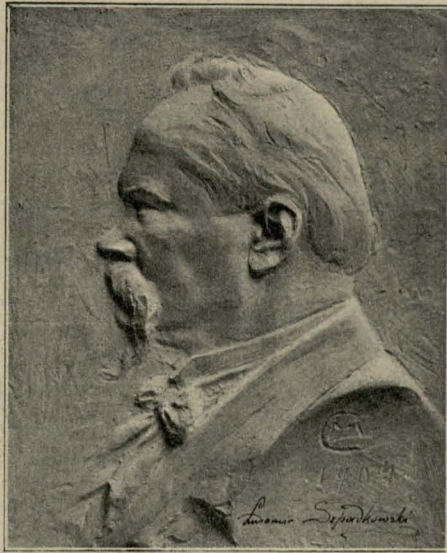
sandomierskiej, studia średnie i wyższe odbył w Warszawie, poczem wstąpił jako aplikant do warszawskiego sądu poprawczego.

Zostawszy asesorem trybunału sądowego, wyjechał do Radomia i na prowincyi dosłużył się stanowiska wiceprokuratora i prokuratora sądu kryminalnego. Następnie znalazł się znowu w Warszawie, gdzie był najpierw pomocnikiem naczelnego prokuratora senatu, później sędzią apelacyjnym, a w r. 1862 został prezesem sądu kryminalnego w Lublinie.

W roku 1872 był mianowany członkiem departamentów senatu, lecz po dokonaniu reformy sądowej nie chciał wyjechać do Petersburga, przekładając rodzinne miasto, gdzie zdala od pracy sądowej gorliwie i pożytecznie pracował na stanowisku członka zarządu i sekretarza W. T. Dobroczyńności.

Złamany w roku zeszłym zgonem ukochanej swej małżonki, ś. p. Wiktorji z Woyczyńskich, pojechał do córki, p. Maryi Stanisławowej Lutosławskiej, i na ręku jej umarł w dniu 20 października w Drozdowie.

Cześć pamięci ostatniego senatora warszawskiego!



Ludomir Szpadkowski.

W dniu 29 października odbył się pogrzeb ś. p. Ludomira Szpadkowskiego, znanego artysty - malarza i zbieracza pamiątek polskich, ostatnimi czasy nauczyciela rysunków w wielu szkołach prywatnych.

Zmarły urodził się w r. 1855 na Kaukazie, kształcił, jako uczeń Matejki, w szkole Sztuk Pięknych w Krakowie, poczem dalsze studia malarskie odbywał w Wiedniu i w Monachium.

Była to dusza wysoce artystyczna, obdarzona rzadkiem zamiłowaniem i zrozumieniem piękna w sztuce. Zajmując się malarstwem, z powodzeniem uprawiał także muzykę. Jako nauczyciel rysunków w szkołach polskich, umiejętnie rozbudzał poczucie piękna wśród młodzieży szkolnej, która umiłowanego profesora otaczała zawsze żywą, serdeczną sympatją i uznaniem.

Znękany w ostatnich latach ciężką chorobą, ś. p. Ludomir Szpadkowski usunął się zupełnie z życia artystycznego i towarzyskiego i zmarł prawie zapomniany przez kolegów.

Szereg obrazów religijnych, znajdujących się w rozmaitych świątyniach całego kraju, zawsze będzie świadczył o jego prawdziwym talencie i pracy.

NADESŁANE.

Ostrzeżenie!

Ponieważ doszło do mej wiadomości, że firmy krakowskie sprzedają koniki wyrobu niemieckiego i czeskiego za krajowe, czuję się w obowiązku ostrzedz P. T. Publiczność, że przezemnie jednego w Galicyi wyrabiane koniki na biegunach i deszczułkach, malowane i obciążane sierciową skórą, oddałem na wyłączną i jedyną sprzedaż na zachodnią Galicyę firmie

STEFAN POREBSKI

Kraków, Rynek 32, linia C-D

a inne są tylko lichotą nie mającą nic wspólnego z wyrobami krajowymi; dlatego proszę jedynie do tej firmy zwracać się tak z zakupem pojedynczo, jak i hurtownie. Stanisław Syrek.

SRODKI do ZĘBÓW
ELIKSIR, PROSZEK i PASTA
Ojców
BENEDYKTYNÓW
Opactwa SOULAC

WAŻNA UWAGA:
Flakony eliksiru Benedyktynów nie opatrzone plombą komory celnej rosyjskiej powinny być uważane za podrobione.

MODEL FLAKONU

C-SKORYNAJSKA FABRYKA MASZYN
i KAMIENI MŁYŃSKICH
BUDOWA MŁYNÓW
WARSZAWA-PRAGA WSZELNIE ARTYKULY MŁYŃSKIE.
OLSZOWA 14. TURBINY, TRANSMISJE i. t. p.

ALFONS MANN
Warszawa, Tłomackie 3.
Fabryka założona w 1819 r.

Narzędzia gospodarsko weterynaryjne. Maszyny do strzyżenia koni. Amerykańskie maszynki do golenia „Star“ i Gillette.

Łaznia
parowa pokojowa składana, dla artretyków, reumatyków i kataralnych
Niezbędny środek

Denaturowany spirytus.
Spirytus stały w puszkach, spirytusowe lampy, palniki, kuchenki, żelazka i t. p.
B-cia WIŚNIEWSKY i S-ka
Foksal 18, Telefon 3039.

FORTEPIANY,
PIANINA, PIANOLE,
ORGANY,
MELODYKONY

GEBETHNER i WOLFF
Warszawa, Krak.-Przed. 17

KSIĘGARNIA
GEBETHNERA i WOLFFA
w Warszawie

poleca:
WYBÓR POEZJI
ARTURA OPPMANA (OR-OTA)
wydanie nowe zmienione i powiększone, z portretem autora.
Cena rb. 1.50, w ozdob. opr. rb. 2.
Do nabycia we wszystkich księgarniach.

LECZNICA DLA DZIECI
D-ra Juliana Gawrońskiego
Plac Ś-go Aleksandra 18 (róg Brackiej),
telefon 40-33. Przyjęcia od godz. 9 do 11 rano. Porada 50 kop.

poleca.
J. ROKICKI i S-ka
Warszawa, Nowo-Senatorska № 1.
Cenniki gratis.

LUDWIK SZUFA KRAWIEC
KRAKOW TELEFON 671

Dr. I. Wapiński ord. klin. szpitala świętego Łazarza
Nowosenatorska 10. Telefon 942. Choroby skórne i wener. Do 12 rano i od 5-8 w.

ZABAWKI
Gry salonowe. Kotyliionowe przybory. Witraże do okien. Filtry do wody. Nowości paryskie. Katalogi franco.
MAGAZYN FRANCUSKI (BERGA 8).

ODPOWIEDZI.

Jednemu z prenumeratorów Tygodnika. W sprawie premium prosimy znieść się z nami listownie.
H. Tuhan w miejscu. W wierszach pańskich jest dużo namiętności, ale to nie wystarcza, by były drukowane; brak opanowania formy.
P. Empe w Piotrkowie. Są pewne zdolności, ale trzeba bardzo pracować, aby je rozwinąć.

F. IZDEBSKI

Senatorska 6 w Warszawie.
Telefon 20-78
FILIA:
Bracka 20
Telefon 90-85

EGZYSTUJE OD ROKU 1858
Skład Szkła, Porcelany, Fajansu, Majoliki i Naczyní Kamiennych, własna Malarnia
poleca całkowite wyprawy ślubne od najskromniejszych. Herby i monogramy na szkłe i porcelanie. Bronzy francuskie, Delfty i Kryształ artystyczne Baccarat. Stały napływ nowości. Ceny fabryczne.

DLA KASZLĄCYCH I OSŁABIONYCH
EKSTRAKT I KARMEŁKI

LELIWA

w Warszawie, ulica Zielna Nr 21, Telefonu Nr 59-54.
SPRZEDAŻ W SKŁADACH APTECZNYCH I APTEKACH.

Rynek głów. linia AB róg ul. Floryańskiej
KRAKÓW Magazyn Nowości **B. WIERZEJSKI**

Ceny bardzo niskie. Wybór wielki. Towary tylko polskie, krajowe.

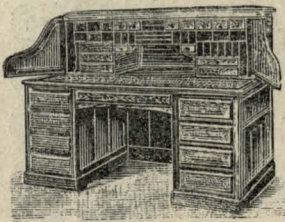


L. MARCHOWIECKI Krak. Przedmieście 25
(vis à vis pom. Mickiewicza)

Poleca: Skórzaną galanterię, przybory podróżne, ozdobne albumy, ciepłe pantofle, etc. Wyrób własny, ceny niskie.

SZKOŁA KROJU I SZYCIA M-me MÉRCERE
Nowy-Swiat № 42

dypłomowanej w Paryżu mistrzyni, system nowy, genre tailleur, moullage, bielizna.
Patenty cechowe. Przy szkole pracownia sukien i okryć.



KOMPLETNE

Urządzenia biurowe
KAROL F. FIŚER

Warszawa, Mazowiecka 10.



Słynna ze swych własności aromatycznych, właściwych substancjom roślinnym, służącym do jej przygotowania.

DO NABYCIA WSZĘDZIE.

Tow. Akc. Browaru **Haberbusch i Schiele**
poleca **PIWO PILZEŃSKIE.**



Koncesyonowana przez c. k. Namiestnictwo

SZKOŁA MALARSTWA

(DLA MĘŻCZYZN I KOBIET)

Leonarda Stroynowskiego

W KRAKOWIE.

Gołębia Nr 14.

MIŁUJĄCYM ZDROWIE! poleca:
Okulary i Binokle z najlepszymi szklami, wzrok wzmacniającymi po rb. 1.20, Mikrofony dla głuchych, Oliwa usuwająca szum uszny flakon rb. 1.50, Bandaże elektryczne usuwają rupturę, nie krepują ruchów od rb. 6, Przepaski higieniczne Venus, Diana i poduszeczki dla dam od rb. 1.50. Środki higieniczne dla pań i panów w dobrym gatunku. Cennik specjalny bezpłatnie, wyłącznie w zakładzie Michała Pik, Warszawa, ulica Miodowa Nr 1.

MAŁECKI



Fabryka
Fortepianów
i Pianin

PIĘKNA Nr 1 (róg Alei Ujazdowskiej) tel. 170,65.

J. MIECZKOWSKI, Fotografia
Marszałkowska III. Telefon 16.81.

DLA PRENUMERATORÓW „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO“ w ROKU 1908.

NOWA SERJA.

12 TOMÓW DZIEŁ HISTORYCZNYCH,
LITERACKICH I NAUKOWYCH

W cenie niższej rb. 6, zamiast rb. 23 kop. 90.

Chmielowski P. Józef Ignacy Kraszewski. Zarys biograficzno-literacki 3.—
Desmolins E. Szlaki dziejowe a typy społeczne. Szlaki starożytne. Przyczynek do geografii społecznej. Spolszczył Ludwik Krzywicki 1.50
Kochanowski J. K. Szkice i drobiazgi historyczne 2.—
Papée F. Studya i szkice z czasów Kazimierza Jagiellończyka 2.40
Raleigh T. Zasady elementarne polityki, z angielskiego tłómaczył Dr. J. Polak —.60
Smoleński Wł. Ostatni rok Sejmu Wielkiego (dalszy ciąg dzieła ks. Kalinki p. t. Sejm czteroletni). Wyd. 2-gie 3.40

Sobieski W. Dr. Szkice historyczne 1.50
Sprawy szkolne i wychowawcze. Odczyty, wygłoszone w wydziale wychowawczym Tow. higienicznego. Serya I 1.—
Tokarz W. Ostatnie lata Hugona Kołłątaja, 1794—1812. Praca, odznaczona nagrodą im. J. U. Niemcewicza. 2 tomy 4.50
Weysenhoff J. generał. Pamiętnik 1789—1831. Z portretem autora, wydał Józef Weysenhoff 2.—
Zdziechowski M. Szkice literackie I. 2.—

12 POWIEŚCI

W cenie niższej rb. 5, zamiast rb. 15 kop. 30.

Gawalewicz M. Mgła. Powieść 1.20
Gliński K. W Babinie. Powieść z pierwszych lat Rzeczypospolitej Babińskiej. 2 tomy 2.50

Gruszecki A. Stomiany ogień. Powieść współczesna 1.50
Jabłczyński F. Romans. — Około śmierci. — Przy robotach. — Szum drzew. — Eustachiusz. — Panna Anna i inne obserwacje życia. — Uczciwy człowiek. — Don Marco Bullon. — Pantofle 1.50
Ieske-Choiński T. O mitrę gospodarską. Powieść historyczna z XVI stulecia 1.50
Kosiakiewicz W. Plama (Z pamiętników wynalazcy) 1.—
Mutermilch M. Żydzi. Powieść 1.50
Orkan Wł. Nowele. Z przedmową Kazimierza Tetmajera 1.—
Prévost M. Listy do Frani. Przekład Maryi Rodysovej, z 59 wydania oryginału 1.20
Rojan K. Lepsze czasy. Powieść 1.20
Świdarska A. Obok szczęścia. Powieść współczesna 1.20

PLYN
Cena flak.
rub. 1.

HEMOGEN MAGISTRA KLAWE

najracjonalniejszy preparat żelaza.

stosowany przy ogólnem osłabieniu, małokrwistości, osł. nerwów i u rekonwalescent. każdego wieku. Uznany przez powagi lekarskie, jako dzielny środek krwiotwórczy i pobudzający apetyt. Wyrób laboratorium apteki Magistra Klawe, Warszawa, 10 Pl. Św. Aleksandra.

Bracia ŁOPIEŃSCY polecają **BRONZY** Magazyn Krakowskie Przedmieście **№ 15** dom Hrabiego J. Potockiego

Redaktor Dr. JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesł. do redakcyi, nie zwraca się

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa